ARTHUR J. PENTY

# ODRODZENIE USTROJU CECHOWEGO

CHESTERTONPOLSKA.ORG

**Artur J. Penty**

# Odrodzenie ustroju cechowego

Pierwsze wydanie: „The Restoration of the Gild System” (1906)

Przekład: Maciej Wąs

Chesterton Polska

2017

CHESTERTONPOLSKA.ORG



Okładka: *Tintern Abbey: The Crossing and Chancel, Looking towards the East Window*.

Autor: J. M. W. Turner

*Domena publiczna*

# Spis treści

## Słowo od tłumacza

Wyobrażam sobie nieraz, że znaczna część intelektualnego życia Europy początku wieku dwudziestego wyglądała tak.

Oto wchodził na jakieś spotkanie towarzyskie człowiek wybitnie wykształcony, z umysłem ostrym jak brzytwa i do tego jeszcze czasami (o zgrozo) chrześcijanin, i zaczynał mówić.

Mówił sporą chwilę, a z każdą minutą jego rozważań zapadała w pokoju gościnnym coraz bardziej głucha cisza. Mówił o wielu rzeczach, ale wszystko sprowadzało się do jednego, zasadniczego wywodu: „Przez waszą, politykę, przez waszą krótkowzroczność", mówił zgromadzonym, „stanie się to, to, to i to. Nie wiem kiedy dokładnie, nie wiem do końca jak, ale stanie się to na pewno, to kwestia logiki. Przemyślcie tylko to, co mówicie – przemyślcie własne czyny – w świetle naszej starej filozofii, w świetle świadectw historycznych, a zobaczycie, że mam słuszność". Po czym kończył, dodając kilka cytatów z jakiegoś mniej popularnego autora, prawdopodobnie Williama Morrisa, którego żaden ze zgromadzonych nigdy nie czytał.

Mijała chwila, aż nagle niezręczną ciszę przerywało wesołe „Eeeee!" To „Eeeee!" niosło się po salonie z początku samotnie, potem jednak dołączało się do niego także jedno następne, i następne, aż nagle cały pokój zaczynał trząść się w posadach od jednego, chóralnego zaśpiewu, jednoczącego dziesiątki mocnych męskich głosów, tym mocniejszych, że coraz weselszych; aż w jednym momencie, cała ta wielka budowla rozpadała się na kawałki, i wszyscy wybuchali niezsynchronizowanym śmiechem. Kryzys był zażegnany.

„Eeeee!" zaczynał po przerwie najaktywniejszy wodzirej, „Pan to taki jest… Pan to przesadza, taką ma pan fantazję… No cóż", (łyczek koniaku), „niech pan sobie odpocznie, wyciszy się – wie pan, teoria teorią, prawda", (strząśnięcie popiołu z cygara), „ale życie życiem, a życie, prawda, ma swoje prawa. To co pan mówi, to miłe, ale to utopie, a więc, reasumując…", (kolejny łyczek koniaku), „utopie, utopie...".

Wieczorek trwał w najlepsze. Co robił niezrozumiany nieszczęśnik, to w sumie nieważne; bo całe towarzystwo zapominało o nim po pięciu minutach.

Mijało kilka lat, świat toczył się swoim torem. Wystąpiły pewne problemy, społeczeństwo zaczęło się niepokoić; innymi słowy: „stało się to to to i to". Zaniepokojeni panowie w cylindrach przypomnieli sobie, że ktoś to kiedyś przewidział, ale nie potrafią sobie przypomnieć kto. I sobie nie przypomną, bo w międzyczasie biedak zebrał się i umarł.

Ta niepoważna powiastka to, jak sądzę, dobry symbol losów bardzo wielu ludzi – a z całą pewnością Artura Józefa Pentyego. Ten żyjących w latach 1875-1937 architekt, pisarz i myśliciel społeczny, autor niezliczonej ilości książek, to postać dzisiaj niemal zupełnie zapomniana, a jego dzieła krążą po księgarniach właściwie wyłącznie w formie reprintów. Trudno znaleźć o nim cokolwiek w opracowaniach naukowych, o tekstach bardziej popularnej nawet nie wspominając; nikt go nie czyta, nie komentuje, nie tłumaczy się go na obce języki. I, trzeba powiedzieć, że jest to *kompletnie* niezrozumiałe.

W wieku dziewiętnastym zaszły w życiu społecznym Europy ogromne zmiany; i, niestety (i wbrew temu, co się nam zazwyczaj wmawia), nie na lepsze. Niekontrolowany niczym rozwój produkcji maszynowej, wraz ze stopniową „emancypacją" życia gospodarczego spod zwierzchności pryncypiów etycznych, doprowadziły do kryzysu społecznego nieznanego przeszłym epokom. Cała północ Anglii, ojczyzny i źródła tych zmian, zapełniła się koczowniczymi masami ludzkimi, wyrugowanymi z własnej ziemi i domów, niemogącymi znaleźć pracy i błąkającymi się od miasta do miasta w poszukiwaniu pieniędzy. Ci spośród nich, którym się „poszczęściło", znajdowali zatrudnienie w nowo powstałych fabrykach, pracując po 14, 15 godzin dziennie, bez przerw, za minimalne wynagrodzenie, niewystarczające nawet na zaspokojenie fizycznego głodu; stłaczano ich w budowanych jak najtaniej gettach, w slumsach bez wody, bez kanalizacji, bez opieki sanitarnej, które szybko stawały się przez to ogniskiem chorób i patologii moralnych. Pracowali wszyscy, tak dorośli, jak dzieci; a kiedy przyszedł ich czas, chowano ich w naprędce przygotowanych mogiłach i szukano następnych, którzy mogliby zająć ich miejsce. Umierali zresztą szybko; w połowie XIX stulecia, przeciętnie w wieku 17 lat.

Ekonomiści liberalni uznali w związku z tym, że śmierć (głównie głodowa) „nadmiaru" populacji jest rzeczą konieczną dla regulacji rynku.

W ten oto sposób, w długim procesie historycznym, narodził się lumpenproletariat.

Inni, którzy mieli „pecha”, nie dostali dopuszczeni do tych luksusów, i błąkali się dalej, pogardzani i niepotrzebni, żebrząc lub kradnąc; nazwano ich *trampami*. To ich opisy znajdujemy na przykład w *Dawidzie Copperfieldzie* Karola Dickensa, jednego z najbystrzejszych obserwatorów problemów angielskiego społeczeństwa.

Ta perspektywa opisu historycznego jest dosyć powszechnie znana i nie ma potrzeby się nad nią rozwodzić; jest wszakże tutaj jeszcze inna sprawa. Wydarzenia historyczne można przecież interpretować z wielu różnych punktów widzenia – i *to* wydarzenie, istotnie, również było w ten sposób, tzn. wieloaspektowo, interpretowane. Ojcem jednego z najciekawszych ujęć problemu był wspomniany wcześniej William Morris (1834-96), angielski pisarz i artysta, twórca tzw. *guild socialism*. Jedną z największych zasług Morrisa było dostrzeżenie, że główna przyczyna postępującej deetyzacji życia społeczno-gospodarczego tkwi nie tylko w konkretnych decyzjach politycznych, ale przede wszystkim w *ideach,* które stanowią źródło owych decyzji, przede wszystkim zaś – w odrzuceniu tego, co można by nazwać rzemieślniczym *etosem i logosem pracy*. Myśl tę podjęło potem, niezależnie od tego, czy zgadzali się z nim w szczegółach, bardzo wielu jego formalnych i nieformalnych uczniów, między innymi Gilbert Keith Chesterton.

W Europie chrześcijańskiej, w wiekach średnich, ale także – na zasadzie „oporu materii” – także długo później, dominowały poglądy społeczne w myśl których każdy normalny (w sensie opisowym a nie normatywnym) człowiek jest przede wszystkim wytwórcą, a dopiero potem – konsumentem. Zaowocowało to szczególnym podejściem do pracy i jej owoców, których celem było – w tamtej optyce – przede wszystkim zaspokajanie potrzeb producenta, a nie konsumenta. Każdy wytwór pracy ludzkiej powinien w jakiś sposób oddawać indywidualność tego, kto go wykonał; w związku z czym: sam powinien być indywidualny i wykonywany *ręcznie*, to znaczy: według możliwości stwarzanych przez indywidualną biegłość, talent i konstytucję psychofizyczną wykonawcy; i to właśnie wykonawca powinien nim, jako *auctor,* dysponować. Jednocześnie, zwracano uwagę, chodzi nie o dobro producenta, ale *producentów*; a że producentami są wszyscy ludzie, naturalnie implikuje to konieczność utrzymywania między nimi równowagi społecznej, Indywidualną władzę rzemieślnika nad pracą ograniczano zatem siecią różnych urządzeń, z których najważniejszą była na pewno instytucja cechu, względnie: gildii. Rzemieślnik cechowy, zachowując znaczną część swojej indywidualności twórczej, musiał podporządkować się pewnej większej strukturze, innymi słowy: uznać prawa innych rzemieślników i zacząć z nimi współpracować. Delikatny system regulacji, narzucający rzemieślnikom pewną tradycję, cenę minimalną, cenę maksymalną, ograniczał znacznie konkurencję między wytwórcami, wymuszając zachowania kooperatywne; z jednej strony nie

znosił jej całkowicie; z drugiej strony, wciągał każdego wytwórcę w pewien system *zamówień,* to znaczy: przymuszał do uznania potrzeb konsumenckich. Rzemieślnik zaś, w zamian za podporządkowanie się społeczeństwu otrzymywał zabezpieczenie socjalne (jak byśmy dzisiaj powiedzieli) i, choćby, nowe narzędzia, nabyte za pieniądze cechu.

System ten trwał w Europie bardzo, bardzo długo (formalna likwidacja cechów zaczęła się dopiero za Rewolucji Francuskiej, co będzie – jak pisał Adam Doboszyński – jej wiecznym wstydem); miał swoje liczne wady i popadał w liczne wynaturzenia; ale to przecież naturalne dla wszystkich tworów człowieka. Zapewniał on jednak, tak *praktyczną,* jak i *spekulatywną,* filozofię pracy, która broniła ludzi przed wszystkimi nadużyciami, które stały się potem znakiem rozpoznawczym wieku kapitalizmu. Ustrój cechowy, warto powtórzyć: przy wszystkich swoich bolączkach, bronił pracowników przed alienacją, trzymał konkurencję w rozumnych ryzach i nie poddawał się dyktatowi konsumentów, a przede wszystkim: uniemożliwiał *konkurowanie ceną.* Jednym słowem: bronił gospodarkę przed materializmem.

Prawie wszystkie z powyższych obserwacji wyczytałem w niniejszej książeczce Artura Penty'ego. Istotnie, trudno, żeby było inaczej – ponieważ takich informacji, czy też może raczej takiej *syntezy historycznej* próżno gdzie indziej szukać. Większość myślicieli współczesnych, nawet jeśli próbowała przeciwstawić się dyktaturze totalnej swobody (nazywanej inaczej „leseferyzmem") zazwyczaj czyniła to z pozycji socjalizmu, i to socjalizmu marksistowskiego; zakładając, po prostu, że system fabryczny, system materializmu gospodarczego, ze wszystkimi swoimi implikacjami i całą towarzyszącą mu podstawą filozoficzną, to rzecz *dana,* od której trzeba zaczynać każdy projekt reformy społecznej. Jest to widoczne nie tylko na gruncie naukowym, ale także w myśleniu potocznym. Można chyba zaryzykować tezę, że znaczna większość społeczna nie potrafi obecnie widzieć konfliktów politycznych czy gospodarczych inaczej, niż w optyce dychotomii socjalizm-kapitalizm; co jest nie tylko że średnio logiczne, nie tylko że momentami (zwłaszcza w kwestii analiz dziejowych) anachroniczne i śmieszne, ale, po prostu prymitywne; i wybitnie szkodliwe dla życia społecznego. Bo, jak mówi mądrość ludu, „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta". Tym „trzecim" jest w tym wypadku, rzecz jasna, wielki kapitał, który czuje się jak ryba w wodzie zarówno w warunkach kompletnej deregulacji gospodarki, jak i jej kompletnego *przeregulowania.* I niezależnie od tego, czy społeczeństwo zmęczone leseferyzmem wybierze socjalizm (teraz zazwyczaj demokratyczny), czy zmęczone socjalizmem wybierze liberalizm (teraz zazwyczaj *neo*), podstawowe procesy społeczne toczą się dalej, a ci, którzy za nimi stoją, zacierają ręce; bo oto dzieci wolnych narodów Zachodu stają się, z roku na rok, a wręcz z dnia na dzień, coraz bardziej *niewolnikami* swoich pracodawców.

Wielką zasługą Pentyego jest, że pisze dokładnie o *tym*. Pisze o tym świetnie, logicznie, z rygorem naukowym prawdziwie godnym wychowanka cywilizacji łacińskiej. Bez litości krytykuje nadużycia społeczne tak kapitalizmu, jak socjalizmu (który nazywa, do czego ma przecież pełne prawo, „kolektywizmem"), wskazując, że tak naprawdę wyrastają te dwie doktryny ze wspólnego pnia i nie stanowią dla siebie *realnej* alternatywy. Żeby rzeczywiście coś zmienić, żeby skutecznie przeciwstawić się narastającym patologiom, należy w pierwszym rzędzie zmienić sam źródłowy sposób myślenia o życiu społecznym; inspiracji do tego zaś, nie trzeba wcale szukać daleko. Drzemią one, uśpione, bojkotowane i otoczone zmową milczenia, w samym sercu europejskiej myśli, w najszlachetniejszych i najbardziej rdzennych momentach europejskich dziejów; drzemią one dokładnie w *etosie i logosie* pracy, jakie proponowała swoim dzieciom cywilizacja wolnych rzemieślników. Widząca w człowieku przede wszystkim *twórcę*; a za Boga mająca – *jako cywilizacja* – syna cieśli.

I choć na pewno to dopiero początek dyskusji, i na pewno do tez Pentyego można by (i trzeba) jeszcze dużo dodać, z niektórymi można (i trzeba) się nie zgodzić, choć na pewno należy weryfikować je i modyfikować w świetle najnowszych (czy może najlepszych?) ustaleń historycznych, jedno pozostaje faktem: że ten autor, i te dzieła, i nawet ta, krótka broszura, to wspaniały początek dyskusji. Pozostaje mieć nadzieję, że udostępnienie jej polskiemu czytelnikowi *coś w* naszym narodzie rozpocznie; jakiś dialog, najpierw, według wiecznotrwałych słów Platona, duszy z samą sobą, a potem dialog między ludźmi, a potem między coraz większymi i większymi grupami, aż wreszcie zobaczymy kiedyś, w co jakże ciężko dziś uwierzyć, prawdziwą zmianę; i zamieszkamy wreszcie, ludzie pośród ludzi, na własnej ziemi.

Zdając sobie sprawę, że mierzę zbyt wysoko, i że na każde marzenie jest klęska i rozczarowanie, proszę Czytelnika, aby popatrzył na to małe dziełko wielkiego, zapomnianego pisarza wielkodusznie. I, na pierwszym miejscu, zaczął zadawać pytania.

Maciej Wąs,
Sosnowiec,
18 V 2017,
św. Jana I, papieża

# Wstęp

Czytelnicy niniejszych stron będą prawdopodobnie świadomi faktu, że ideę odbudowy systemu cechowego jako lekarstwa na problemy współczesnego industrializmu odnaleźć można w pismach Jana Ruskina, który wysunął tę propozycję wiele lat temu.

Na nieszczęście, jako iż Ruskinowi nie udało się opracować żadnego praktycznego planu odbudowy cechów, reformatorzy społeczni nigdy nie traktowali tej propozycji poważnie. Można powiedzieć, że – oferując wiarygodną teorię rekonstrukcji społeczeństwa w oparciu o zasadę kooperacji – lukę po niej wypełnił kolektywizm, a teorie Ruskina bezzwłocznie relegowano do sfery niepraktycznego marzycielstwa.

Ideę ową wskrzeszam w tym miejscu dlatego, iż żywiąc przekonanie że kolektywizm nie będzie zdolny rozwiązać obecnych problemów społecznych, muszę przyjąć, że naszą jedyną nadzieją pozostaje pójście właśnie w kierunku zarysowanym przez Ruskina, i mam szczerą nadzieję wykazać na stronach niniejszej książki, iż znalezienie w naszym kraju praktycznych sposobów i środków odrodzenia gildii nie jest niemożliwe.

Aby w pełni zrozumieć znaczenie tego poglądu, powinno się go rozważać w związku z teorią przedstawioną przez pana Edwarda Caprentera[1] w dziele „Cywilizacja. Jej ustanowienie i uzdrowienie". Istotnie, niniejsza praca ma za cel ledwie stworzenie kanału, łączącego przedstawioną w niej teorię z praktyką polityczną.

Dwie inne książki, które mają dla problemu spore znaczenie, i przeczytanie których może przynieść konkretne korzyści, to „Przeszłość i teraźniejszość" Carlyle'a oraz „Kultura i anarchia" Mateusza Arnolda.

Hammersmith,
*Lipiec* 1905

1 Edward Carpenter (1844-1929) – angielski poeta socjalistyczny, pisarz, filozof [wszystkie przypisy z numeracją arabską pochodzą od tłumacza – MW].

## Rozdział I – Kolektywistyczna formuła gospodarcza

Pośród różnych systemów proponowanych w charakterze rozwiązania współczesnych problemów społecznych, kolektywizm*, ze względu na bliski związek z tymi problemami, jako jedyny osiągnął pewien stopień popularności. Odkrywszy, że „nieskrępowana konkurencja między jednostkami nie stanowi zasady, na której można oprzeć regulację produkcji", filozofowie polityki tłumnie rzucają się w kierunku przeciwnej skrajności i proponują zaradzić temu defektowi najpierw przez regulację, a potem nacjonalizację ziemi, kapitału oraz środków produkcji i wymiany dóbr; które to środki, jak się nam mówi, dzięki zmianie charakteru społeczeństwa z kompetytywnego na kooperacyjny, usuną z ciała społecznego wszelkie zarazy.

Podobne *remedium* byłoby zupełnie rozsądne, gdyby zło, które trzeba zwalczyć, stanowiła właśnie konkurencja. Tak jednak nie jest. Prawda, że konkurencja, w takiej formie, w jakiej funkcjonuje w społeczeństwie współczesnym, stanowi czynnik dezintegracyjny. Nie dzieje się tak jednak dlatego, że jako taka z definicji jest zła; ale dlatego, że warunki, w jakich obecnie zachodzi, są złe – i to z samej swej natury. Że konkurencja dnia dzisiejszego różni się od tej z przeszłości, nieświadomie rozpoznajemy mówiąc o „konkurencji rynkowej". Konkurencja, jaka istniała w warunkach systemu cechowego, kiedy godziny i warunki pracy, ceny itd. były odgórnie ustalone, z konieczności stanowiła kwestię jakości; jako iż gdy żadnemu producentowi nie wolno było konkurować na sposób niski, czyli co do ceny, konkurencja przyjmowała formę rywalizacji na polu użyteczności czy piękna wytwarzanych przedmiotów. Gdy kontrola nad wytwórczością przeszła z rąk mistrza rzemiosła w ręce finansisty, regulacje cechowe zaś zostały zniesione, rozpoczęła się era konkurencji rynkowej i to, co wcześniej było czynnikiem zdrowym i rozwijającym, stało się niebezpiecznym, uwsteczniającym żywiołem; bo konkurencja finansistów

* Kolektywizm lepiej zna się pod nazwą socjalizmu. Wolę wszakże używać terminu „kolektywizm", bo jest on nieco jaśniejszy. „Socjalizm", jako termin ogólny, stosowano w różnych czasach na określenie bardzo różnorodnych ruchów, mających za cel ustanowienie państwa idealnego. Kojarzono go z sektami tak różnymi od siebie co do zamierzeń i metody, jak komuniści, anarchiści i kolektywiści; a ludzie tak różni, a wręcz antagonistyczni w poglądach, jak Karol Marks, William Morris, Edward Bellamy, Robert Owen, Keir Hardie, Grant Allen i Bernard Shaw przypisywali sobie miano „socjalistów". Kolektywizm to jasno zdefiniowany schemat czy plan reformy, opracowany w ciągu ostatnich dwudziestu lat, który – w związku ze swoją wyższością logiczną – pobił definitywnie wszystkie pozostałe socjalistyczne teorie. Jednym słowem można powiedzieć, że „kolektywizm" oznacza powszechnie przyjęte sposoby osiągnięcia socjalistycznego ideału [wszystkie przypisy pod „gwiazdką" pochodzą od autora – M.W.].

z konieczności musi oznaczać konkurencję jak najniższą ceną, dla której poświęcić należy wszelkie inne względy.

Gwoli jasności zatem, terminy „konkurencja” i „system rynkowy” zdefiniujemy jak następuje: system rynkowy oznacza stan, w którym kontrolę nad przemysłem sprawuje finansista (w odróżnieniu od mistrza rzemiosła), konkurencja zaś – rywalizację między producentami.

Jeśli spojrzeć na kolektywizm z tej perspektywy, okazuje się, że dąży on do wyeliminowania nie tyle systemu rynkowego, co właśnie konkurencji. Czyniąc tak, sprawniej niż kiedykolwiek utrwala tylko najgorsze cechy obecnego systemu. Proste przekazanie kontroli nad przemysłem z rąk kapitalistów w ręce państwa, w żaden istotny sposób nie może zmienić natury tego przemysłu. W Belgii, na przykład, gdzie znacjonalizowano przemysł piekarski i krawiecki, wyplenienie wyzysku czy wprowadzenie krótszego dnia pracy okazało się niemożliwe. Ten konkretny przykład odstąpienia od zasady sprawiedliwości społecznej bez wątpienia stanowi zapowiedź przyszłego odstąpienia od niej w sposób definitywny; bo, w miarę jak kolektywiści będą coraz mocniej i mocniej angażować się w praktykę polityczną, trudności w pogodzeniu wierności ideałom z faktyczną budową proponowanego systemu organizacji gospodarczej z pewnością będą się tylko piętrzyć. Co więcej, nawet kiedy uda się go już zbudować, przyjdzie jeszcze zmierzyć się z dobrze znanymi trudnościami związanymi z każdą próbą reformy administracji; czy jest jakakolwiek szansa, że w podobnych warunkach kolektywistycznego *regime'u* społeczeństwo nie pogodzi się z obecnymi nadużyciami rynkowymi, i nie zacznie traktować ich w kategoriach „zła koniecznego”?

Pytanie jest niezwykle istotne, skoro – zgodnie z zasadami kolektywistycznej ekonomii – każda znacjonalizowana gałąź przemysłu musi zacząć się spłacać, rząd zaś, administrujący przecież całym przemysłem, powinien patrzeć nań jak na biznes, nie pytając, na przykład, czy jakaś jego gałąź jest użyteczna czy nie, lub czy przypadkiem nie powstała wyłącznie po to, by zaspokajać tymczasowe i sztuczne potrzeby cywilizacji współczesnej. Tak też nasz obecny rząd, znacjonalizowawszy sieć telegraficzną, zaczął interesować się przede wszystkim utrzymaniem stałej ilości pieniędzy w hazardzie, dostosowywaniem systemu do potrzeb wyścigów konnych i tych segmentów rynku, które stanowią prawdziwe źródła jego finansowania, a nie różnymi bardziej ludzkimi instytucjami, które naprawdę go potrzebują, ale które stanowią, w porównawczej skali, tylko bardzo niewielki procent jego użytkowników. I znów, gdyby znacjonalizować kolej, rząd skupiłby się wyłącznie na podtrzymaniu nieekonomicznej dystrybucji krzyżowej, będącej owocem konkurencji między handlowcami. Podobnie, stopniowy rozwój municypalnej wytwórczości i handlu utrudniałby zasadniczo depopulację miast. I ta konserwatywna tendencja jest

nieuchronna – ponieważ kolektywizm będzie postrzegany jako realna perspektywa ustrojowa dla narodu wyłącznie, jeśli – zgodnie z zapewnieniami jego orędowników – zapewni mu stabilność finansową.

Zasada kooperacji z początku miała umożliwić budowę społeczeństwa idealnego, lecz socjaliści pożegnali się z tym ideałem już bardzo dawno temu – i teraz interesuje ich niewiele poza wyścigiem po pieniądze. Zupełnie zasadnie można zatem przypuszczać, że kolektywizm, zyskawszy szerokie poparcie dzięki obietnicom wygenerowania dla społeczeństwa większych dochodów, uległby podobnej degeneracji. Elektorat, rozpalony gorliwością o maksymalizację zysków, nie zdecydowałby się usunąć współczesnego zła, jeśli miałoby się to wiązać z obniżeniem dochodu społecznego – ponieważ wciąż trzymałby się starego zabobonu, jakoby tylko stały dochód gwarantował społeczeństwu dobrą kondycję finansową. A że w ostatecznym rozrachunku kontrolę nad przemysłem i tak sprawowałby finansista, produkcja nakierowana na zysk, a nie na użytkowanie, trwałaby nadal. Bo czy może finansista dowieść swojej biegłości inaczej, niż generując zyski?

Innymi słowy, kolektywizm oznacza po prostu upaństwowienie systemu rynkowego.

O ile ludzie nie wyzbyliby się swych obecnych nawyków życia i myśli, i nie zmienili swoich nieuporządkowanych upodobań, administracja państwowa, kierująca przemysłem, pozostawałaby na łasce popytu i podaży dokładnie tak samo, jak wygląda to dzisiaj, a chwiejność gustów byłaby dla niej czymś równie niepokojącym, jak chwiejność opinii publicznej.

W tym punkcie dochodzimy do wielkiego błędu doktryny kolektywistycznej – mianowicie: założenia, że polityka rządu powinna skupiać się wyłącznie na obronie i realizacji interesów człowieka w jego funkcji konsumenta – zabobonu, który trwa w naszym społeczeństwie od czasów Szkoły Manchesterskiej; jako iż ledwie krótki namysł wystarczy, aby przekonać się, że w systemie prawdziwie społecznym zadaniem rządu nie może być uwielbienie czy to producenta, czy konsumenta, ale utrzymywanie między nimi równowagi sił.

Polityka uwielbienia konsumenta kosztem producenta byłaby zupełnie rozsądna, gdyby zło czasu obecnego brało się z tyranii produkcji. Ale czy tak jest? Prawda, że beznadziejna kondycja obecnego handlu w znacznej mierze zdaje konsumenta na łaskę i niełaskę pozbawionych skrupułów producentów. Przyczyna tego wszakże leży nie w tym, że producenci z natury cechują się nieodpartą skłonnością do nieuczciwych metod działania, ale dokładnie w tyranii konsumenckiej, która sprawia, że większość

producentów zmuszona jest uciekać się do nieuczciwości w geście samoobrony. Bez wątpienia, wszystkie nadużycia handlowe z początku rzeczywiście stanowiły dzieło indywidualnych producentów. Ich rozrost stał się jednak możliwy po pierwsze dlatego, że bez specjalnych przywilejów bardziej honorowi producenci zwyczajnie nie mają siły, by je ukrócić, po drugie zaś: ponieważ konsumenci są w stosunku do uczciwych wytwórców tak kompletnie nielojalni, i tak bardzo lubią wierzyć, że rzecz wartą sześć pensów naprawdę można kupić za trzy, że z pełnym rozmysłem powierzają się w ręce wytwórców gorszego sortu. W każdej dziedzinie życia człowiekiem sukcesu staje się ten, kto potrafi wmówić ogółowi, że można mieć coś za nic i – ogólnie mówiąc – jeżeli konsumenci naprawdę są oszukiwani, to dlatego, że na to zwyczajnie zasługują. Prawdziwość tego stwierdzenia potwierdzą wszyscy, którzy – w jakiejkolwiek dziedzinie wytwórczości – próbowali podnieść standardy. W każdym wypadku, to właśnie tyrania konsumencka stawała im na drodze. Każdy, kto prześledził – na przykład – dzieje ruchu Sztuki i Rzemiosła[2] i zauważył, jak wielkie starania podjęli jego członkowie na rzecz podniesienia jakości angielskich produktów, nie może nie uznać, że to ona jest źródłem problemu. Gdyby ogół był zdolny choćby do jednej dziesiątej tego wysiłku, na jaki zdobyły się wtedy w jego imieniu tylko jednostki, być może dawno już zdołalibyśmy wydostać się z industrialnego bagna.

Tego zła nie usunie się przekazując przemysł pod kontrolę państwa. Przeciwnie, sytuacja się raczej pogorszy. Sztuka miała w przeszłości prywatnych mecenasów – i póki tacy istnieją, artyści wciąż mogą stworzyć jeszcze od czasu do czasu coś dobrego. Lecz w konfrontacji twarzą w twarz z wielką grupą ludzi, którzy nie mają określonych standardów smaku, lecz – jako grupa właśnie – płyną z prądem otaczającej ich zewsząd wulgarności, artysta nie ma żadnych szans. I skoro możemy zakładać, że instytucja prywatnego mecenatu w ustroju kolektywistycznym zupełnie zaniknie, wnosimy, że sztuka straci w nim swoją ostatnią podporę. W poprzednim wieku każde dzieło sztuki, które byłoby naraz dobre i dostępne ogółowi, stanowiło w głównej mierze efekt przypadku. Kolektywna kontrola zapowiada nie tyle koniec nędzy, do którego doprowadzi przekazanie przemysłu w ręce mądrych administratorów, co raczej ostateczne odejście w produkcji od standardów kwalitatywnych, jakie dokona się ze względu na podporządkowanie wszystkich producentów demoralizującej tyranii nieokrzesanej większości[*].

2 Oryg. *Arts and Crafts movement* – ruch zrzeszający artystów i rzemieślników z różnych dziedzin, założony przez Williama Morrisa w 1888 w Londynie, bardzo wpływowy; celem był powrót do starego ideału pracy rzemieślniczej i tworzenia rzeczy naraz pięknych i użytecznych. Inspiracją były pisma Jana Ruskina. Ruch znalazł naśladowców w całej Europie, także w Polsce.

* Sądząc co do prawdopodobnych skutków wprowadzenia kolektywistycznej kontroli nad przemysłem, musimy szczególnie przyjrzeć się temu, w jaki sposób najpewniej funkcjonowałaby ona w przeciętnym prowincjonalnym mieście. Nie możemy

To rynkowe pojęcie rządu służącego wyłącznie interesom konsumentów sprawia, że kolektywiści obracają się w cokolwiek osobliwym towarzystwie. Zmusza ich do usprawiedliwiania nawet systemu tak szkodliwego, jak podział pracy. Ruskin twierdził, że to subiektywny standard ludzkiej szczęśliwości, a nie przyjmowany przez ówczesnych ekonomistów politycznych, obiektywny standard monetarny, stanowi ostateczną miarę społecznej użyteczności produkcji. Jeśli zgodzimy się z Ruskinem, bez wątpienia należy nam patrzeć na człowieka przede wszystkim jako na producenta. Z tego punktu widzenia, jego zdrowie, mentalne i moralne, w sposób konieczny zależy od tego, ile przyjemności czerpie z wykonywanej pracy. Współcześnie wszakże pozbawiamy pracownika tego źródła szczęścia, by potem podejmować ogromne wysiłki celem wypełnienia tej luki instytucjami w rodzaju darmowych bibliotek czy wykładów otwartych, z których żadna nie stanowi przecież elementu jego prawdziwej egzystencji. Polityka ta wydaje się opierać na założeniu, że człowiek powinien z pełną świadomością wieść podwójne życie. Najpierw z pokorą przyjąć wszelkie upokorzenie, jakiego mógłby wymagać od niego obecny system produkcji, a potem, w czasie wolnym, zająć się rozwojem osobistym. Tak też każdego ranka niszczy to, co przez noc budował. Niczym szalony wioślarz, wiosłujący w obie strony naraz, kręci się w kółko z ogromnym pędem, pogodnie wyobrażając sobie przy tym, że maszeruje naprzód. Aby człowiek pogodził w sobie te sprzeczne siły i uczynił swoje życie prostszym, bardziej harmonijnym i pełniejszym, należy znów zacząć postrzegać go w pierwszym rzędzie jako wytwórcę.

Innym argumentem za logicznym pierwszeństwem wytwórcy, bardzo interesującym zapewne dla wszystkich demokratów, jest to, że legislacja prowadzona przy założeniu, jakoby wszyscy ludzie byli konsumentami, a tylko nieliczni producentami, w oczywisty sposób będzie promować bezczynność, bo tylko ludzie bezczynni konsumują nic przy tym nie produkując. Ten podstawowy błąd w rozumowaniu umożliwił zaistnienie znanego przecież paradoksu, polegającego na tym, że choć Szkoła Manchesterska potępiała bezczynność i luksusy, dzięki zastosowaniu proponowanych przez nią rozwiązań poziom luksusu i bezczynności w społeczeństwie gwałtownie się podniósł.

---

traktować L.C.C. [London County Council – Rada Hrabstwa Londynu, uformowana w 1899 m.in. celem uregulowania niekontrolowanego rozwoju slumsów – wyj. tłumacza] jako czegoś typowego. Okoliczności, które sprawiły, że L.C.C. jest tym, czym jest, prawdopodobnie się już nie powtórzą. I mamy wszelkie przesłanki, aby wierzyć, że kiedy fala entuzjazmu w mieście opadnie, L.C.C. zdegeneruje się tak samo, jak Londyńska Rada Edukacyjna [powołana w 1870 roku celem zarządzania londyńską edukacją, jednak zajmowała się właściwie administracja całego miasta – wyj. tłumacza].

Przejdźmy teraz do rozważenia charakteru zasad kolektywistycznych w relacji do konkretnych problemów. W kwestii trustów, na przykład, kolektywiści zakładają, że przemysł będzie przez nie coraz mocniej i mocniej zdominowany, aż w odpowiednim momencie wkroczy na scenę państwo i przeprowadzi ich powszechną nacjonalizację.

Otóż, jeśli przyjrzymy się sprawie uważnie, natychmiast dostrzeżemy, że tworzenie karteli przemysłowych wcale nie jest zjawiskiem uniwersalnym. Trzyma się ono mocno w tych gałęziach przemysłu, które zajmują się dostarczaniem surowców, na kolei i w wypadkach innych monopoli, w gałęziach produkcji, w których zasadniczą rolę odgrywa maszyna, i które wywierają decydujący wpływ na rynki światowe. Z drugiej strony, istnieją takie gałęzie przemysłu, gdzie nie ma po nim śladu. Nie uświadczy się go, na przykład, w gałęziach przemysłu z natury rzeczy opartych o rynki lokalne, choćby w budownictwie; albo w tych, w których pewną role odgrywa czynnik indywidualnego gustu, jak w meblarstwie i krawiectwie. Prawda, że w tych gałęziach przemysłu również występują wielcy kapitaliści, ale ich obecność nie oznacza, że drobny budowniczy, meblarz czy krawiec zostanie automatycznie wyparty z rynku. Wielki przedsiębiorca budowlany istnieje nie dlatego, że produkuje taniej od drobnego przedsiębiorcy, jak każde rzetelne porównanie cen niechybnie ujawni; ani nie dlatego, że pracuje lepiej – jego *raison d'etre* trzeba szukać raczej w fakcie, że wielkie zlecenia budowlane mogą zostać przyjęte wyłącznie przez budowniczych dysponujących znacznym kapitałem. I znów, istnienia firm meblarskich i krawieckich nie można traktować jako znaku wzrostu wydajności tych gałęzi przemysłu – bo przecież taka redukcja kosztów, jaką w nich przeprowadzono, uderzyła przede wszystkim właśnie w prawdziwą wydajność; i tak samo, rozwój wielkich domów towarowych nie tłumaczy się wcale różnicą w cenie, ale raczej, przynajmniej w pewnej mierze, tymi samymi przyczynami, ze względu na które powstają wszystkie wielkie firmy, a także rozwojem systemu reklamy, przez który nierozumny ogół naprawdę wierzy, że w dużych sklepach otrzymuje za swoje pieniądze znacznie lepsze towary. Więcej, jeżeli zbadamy sprawę bardziej dogłębnie, przekonamy się, że te kolosalne organizacje nie tylko nie zapewniają większej wydajności produkcji niż małe firmy, ale jeszcze zawdzięczają swoje istnienie ogólnej degradacji wytwórstwa – temu, że rzemieślnicy postradali prawie całą biegłość w zawodzie i stali się marionetkami kapitalizmu. Tylko tam, gdzie poziom rzemiosła spadł, a biegłego rzemieślnika zastąpił mechaniczny tłuk, kapitalizm naprawdę zdołał się zadomowić. Wagi faktu, że kapitalistyczna organizacja – czy to prywatna, czy publiczna – wzniesiona została na degradacji rzemiosła i ją właśnie zakłada, nie da się przecenić. Powołana celem zorganizowania pracy całkowicie obojętnej robotnikom, nie może się przydać na nic innego; bowiem w produkcji dobrego dzieła, rzemieślnik musi mieć wolność trzymania się nieprzerwanej tradycji swojego fachu – czego kapitalizm całkowicie mu odmawia, bo właściwą funkcją kapitalizmu nie jest

wytwarzanie tradycji kompozycyjnej rękodzieła, tylko dostosowywanie wysiłków rzemieślnika do zachcianek konsumentów.

Pogląd ów, pierwotnie sformułowany w oparciu o osobiste obserwacje i doświadczenie co do warunków, panujących obecnie w przemyśle, znajduje potwierdzenie w świadectwach księcia Kropotkina[3]. W dziele „Pola, fabryki i warsztaty" mówi on: „Mali kupcy Paryża mają nad fabrykami tak ogromną przewagę, że średnia liczba robotników zatrudnionych w 98 000 paryskich fabryk i warsztatów jest mniejsza niż *sześć, a* liczba osób zatrudnionych w warsztatach mających mniej niż pięciu pracowników niemal dwukrotnie większa od liczby zatrudnionych w wielkich zakładach. Paryż to tak naprawdę wielki ul, w którym setki i tysiące mężczyzn i kobiet wytwarzają w maleńkich warsztatach całe mnóstwo dóbr, z których każde wymaga smaku, umiejętności i inwencji. Te małe warsztaty, w których artyzm wykończenia i szybkość pracy ceni się tak wysoko, z konieczności stymulują siły mentalne wytwórcy; i możemy bezpiecznie przyjąć, że jeśli robotników Paryża uważa się powszechnie – zgodnie z prawdą zresztą – za lepiej rozwiniętych intelektualnie od robotników wszystkich innych europejskich stolic, wynika to w znacznej mierze z charakteru pracy, jaką wykonują… w związku z czym w naturalny sposób rodzi się pytanie: czy całą tę umiejętność, całą tę inteligencję, rzeczywiście musi wymazać ze świata dominacja fabryki? Czy nie lepiej, aby stały się one, w warunkach lepszej organizacji produkcji, nowym, płodnym źródłem postępu? Czy cała ta twórcza inwencja pracowników naprawdę musi ustąpić miejsca fabrycznej standaryzacji? A jeśli tak, dlaczego podobna transformacja miałaby być postępem, jak wielu ekonomistów, badających cyferki, a nie żywe ludzkie istoty, z takim zapałem utrzymuje?"

Kropotkin bezbłędnie wyłapuje słabe punkty współczesnych teorii socjologicznych. Teorie te opierają się na badaniu cyferek raczej niż ludzi. Za poprawne sformułowanie tego problemu może prawdopodobnie służyć znane *dictum,* że wielkoskalowa organizacja zapewnia wydajność produkcji tylko do pewnego poziomu, różnego w zależności od gałęzi przemysłu, po przekroczeniu którego następuje degeneracja. Z jednej strony, spada jakość wytwarzanych dóbr, z drugiej zaś – wydatki administracyjne zaczynają przekraczać właściwe sobie proporcje, oczywiście ze względu na zanik elementu kontroli osobistej; prawdopodobnie stanowi to jedną z przyczyn, dla których wiele dużych firm stopniowo zaczyna coraz częściej uciekać się do wyzysku. Koszty gdzieś trzeba ciąć – tak też cierpią robotnicy.

3 Piotr Kropotkin (1842-1921) – rosyjski arystokrata, geograf, anarchista, filozof, działacz społeczny. Zwolennik ewolucjonizmu odrzucającego teorię doboru naturalnego i walki wszystkich ze wszystkimi; uznawał naturalną dobroć natury człowieka. Zwolennik likwidacji formalnych państw i samorzutnej organizacji społeczeństw w tzw. „komuny".

Skoro wiemy już, że kolektywistyczne prognozy na temat przyszłości systemu fabrycznego opierają się na niewystarczającej ilości danych, powróćmy do kolektywistycznych opinii co do przyszłości maszynerii; w tym wypadku, kolektywizm naucza, że maszyn będzie się używać w przyszłości nawet powszechniej niż obecnie. Okoliczność, że wielu z tych, którzy identyfikują się z kolektywizmem trzyma się również idei Williama Morrisa[4] i cytuje go przy rozmaitych okazjach, w niczym nie zmienia zasadniczej treści kolektywistycznego stanowiska, w stosunku do myśli Morrisa wprost antagonistycznej. Sprzeciw Morrisa wobec produkcji maszynowej opierał się na rozpoznaniu, po pierwsze, że dobrom wytwarzanym przez maszyny brakuje indywidualnego charakteru, po drugie zaś, że maszynizm naturalnie sprzyjał najradykalniejszemu dotychczas rozdzieleniu funkcji rzemieślnika i artysty, podczas gdy uzdrowienie produkcji niezbędnie wymagało ich połączenia.

Jak jednak mogłoby się ono dokonać w warunkach *regime'u* kolektywistycznego? Jeżeli obecna ewolucja społeczna rozdzieliła artystę z rzemieślnikiem, dalszy postęp w realizacji tych samych założeń rozdzieli ich tylko jeszcze bardziej, a nie zjednoczy. Dlatego też identyfikację kolektywizmu z mechanicznym ideałem produkcji przemysłowej uważamy za usprawiedliwioną.

Każdy może twierdzić, że rozwiązaniem naszych problemów jest dalszy postęp w kierunku mechanicznej perfekcji – i gdyby wytwarzanie bawełny i guzików tak tanio, jak to tylko możliwe, stanowiło cel ludzkiego istnienia, byłoby to podejście zupełnie rozsądne; biorąc wszakże pod uwagę, że człowiek ma duszę, która pragnie właściwego sobie spełnienia, i że postęp w dziedzinie wynalazków mechanicznych degeneruje ją i ogłupia, czyniąc człowieka coraz bardziej i bardziej niewolnikiem maszyny, czujemy się usprawiedliwieni, gdy głosimy, że prawdziwy postęp wygląda zupełnie inaczej. Do pewnego momentu mechaniczne wynalazki rzeczywiście przynoszą społeczeństwu pewne korzyści, niemniej wynalazki te należy odróżnić od masy mechanicznych zabawek – pokornych niewolników kapitalizmu i świadków zepsucia społecznego. Wynalezienie maszyny pozwalającej ulżyć człowiekowi, bardzo zasadnie nazwać można sukcesem Nauki; lecz zredukować każdą pracę do poziomu zwykłej harówki, ordynarnie wykorzystywać naukę do celów rynkowych, to już zupełnie inna sprawa. Ponieważ maszyneria to ledwie środek do celu, możemy sprawdzić jej użyteczność społeczną ustalając, czy cele, którym ma służyć, są

4 Wiliam Morris (1834-96) – angielski pisarz, malarz, architekt, działacz społeczny, filozof. Twórca tzw. guild socialism, to przekłada się na polski jako „socjalizm syndykalistyczny", chyba jednak błędnie, bo cech to nie syndykat. Zwolennik obrony rzemiosła przed produkcja masową. Człowiek aktywny, niestety niewierzący. Jeden z ulubionych pisarzy Gilberta Keitha Chestertona (przynajmniej w jego młodości). W swoich powieściach i poezji, w geście motywacyjnym w stosunku do własnego ruchu, opisywał utopijne społeczeństwa idealne („Morrisowska utopia" to dosyć słynna rzecz).

pożądane, czy wręcz przeciwnie. A jakież to cele zdecydowały o zastosowaniu produkcji maszynowej we współczesnym przemyśle? Nie zaspokajanie ludzkich potrzeb, nie wytwarzanie rzeczy pięknych, ale przede wszystkim folgowanie instynktowi do robienia pieniędzy, które, co chyba oczywiste, nie jest pożądane. Istnieje bardzo niewiele dóbr, które maszynowo wyprodukować można równie dobrze, jak ręcznie, na tyle zaś, na ile mam na ten temat pewną wiedzę, nie ma żadnej, którą maszynowo można by wyprodukować lepiej. Garnki nitowane ręcznie są dokładnie tak samo dobre, jak nitowane mechanicznie; a najprecyzyjniejsze instrumenty naukowe można wytwarzać już tylko manualnie. Istotnie, w każdym wypadku, w którym liczy się precyzja wykonania, wyższość roboty ręcznej powszechnie się uznaje. W rzemiośle z drugiej strony, maszyny są bezużyteczne – chyba że w pracy ciężkiej, takiej jak piłowanie drewna; lecz nawet w tym wypadku, jeśli rozważyć sprawę z perspektywy czysto wizualnej, piłowanie mechaniczne nie dorównuje ręcznemu piłowaniu i ciosaniu, które mają w sobie znacznie więcej charakteru. W produkcji, zatem, jedyny pożytek z maszynerii jest taki, że pozwala ona oszczędzać siły przy niektórych cięższych zajęciach, co zresztą, z punktu widzenia rozwoju fizycznego rasy, jest korzyścią bardzo wątpliwą; albo że redukuje koszty produkcji. Co również stanowi korzyść w najlepszym wypadku wątpliwą, ponieważ bogacenie się powyżej określonego poziomu jest wysoce niepożądane. Bez maszynerii, byłoby mnóstwo dóbr dla wszystkich do podziału – o ile, rzecz jasna, nie wdałaby się tutaj chciwość jednostek; maszyneria zaś, ułatwiając produkowanie dóbr w nieprawdopodobnych ilościach, nie tylko nie eliminuje ducha chciwości (choć przecież go zaspokaja), ale przeciwnie: wydaje się dodawać mu mocy kumulatywnej. Maszyneria wzniosła między ludźmi najskuteczniejsze bariery klasowe, jakie dotychczas wymyślono. I znów, w kwestii lokomocji, korzyści płynące z używania maszyn też są bardzo wątpliwe. Jeśli koleje i parowce naprawdę sprawiły, że Chicago i Londyn leżą teraz bliżej siebie, świat stał się w konsekwencji po prostu bardziej banalny, i naprawdę warto zapytać, czy przypadkiem romantyzm, piękno i tajemnica, które maszynizm tak beztrosko miażdży, nie są w dłużej perspektywie rzeczami bardziej godnymi posiadania, pośpiech i nerwy zaś, które wszędzie wita się jako heroldów postępu, elementami zwykłej iluzji?

Kolektywiści są oprócz tego w niemałym rozerwaniu co do kwestii fiskalnej. Nie mogąc zgodzić się ze stanowiskiem ani protekcjonistów, ani zwolenników wolnego handlu, Towarzystwo Fabiańskie opracowało własny plan, rzekomo zharmonizowany z zasadami kolektywizmu. W traktaciku zatytułowanym „Fabianizm i kwestia fiskalna", Towarzystwo proponuje, w charakterze rozwiązania obecnego kryzysu, by flotylla handlowa transportująca dobra między Brytanią a jej koloniami została zimperializowana, a usługi przez nią świadczone były ogólnie darmowe. Nie ma cienia wątpliwości, że coś takiego na pewno nie stanowiłoby kroku w kierunku kolektywizmu; ale raczej pogłębiło tylko jedną

z najgorszych wad obecnego systemu, jakie kolektywizm pragnie usunąć, mianowicie: zło dystrybucji krzyżowej.

Dochodzimy tutaj do kwestii rynków światowych, co do których kolektywiści zazwyczaj uznają, że to w przemyśle czynnik stały.

Do pewnego stopnia, rzecz jasna, tak właśnie jest, i już na początku musimy poczynić rozróżnienie między normalnymi proporcjami handlu, w których zawsze będzie on musiał istnieć, a jego obecnym, nienormalnym przerostem, który traktować można wyłącznie w kategoriach objawu chorobowego.

Że Indie eksportują do nas herbatę wydaje się, na przykład, zupełnie rozumne, ale dlaczego my mielibyśmy eksportować do Indii wyroby bawełniane, to już nie taka jasna sprawa. Pierwsza rzecz to naturalna wymiana handlowa, ponieważ warunki klimatyczne nie pozwalają nam na uprawę własnej herbaty. Druga wszakże, nie jest zakorzeniona w rzeczywistości, ale stanowi rezultat sztucznie wytworzonych warunków, okoliczności, że pierwszą maszynę tkacką wynaleziono w Lancashire –dzięki czemu mogliśmy, po dosyć długim czasie, zacząć wykorzystywać rynki zagraniczne do naszych własnych celów. Ale na tym być może wcale nie koniec. W dłużej perspektywie, Indie mogą zacząć produkować wyroby bawełniane na własną rękę, jeśli mamy sądzić wyłącznie na podstawie porównania kosztów – jeśli jednak przypomnimy sobie, że w produkcji powinno się brać pod uwagę także i inne czynniki, i że znów będzie się je brało pod uwagę, gdy ludzkość się przebudzi i na powrót dostrzeże, że zysk to nie produkcyjna Alfa i Omega, ta zmiana jest pewna. Przywrócenie produkcji sprawiedliwych standardów kwalitatywnych mocą odrodzenia sztuki i ponownego otwarcia handlu na wpływ zmysłu moralnego, wymaga zastąpienia rynków światowych lokalnymi.

Nie może być tu żadnych wątpliwości. Ewidentnie bowiem, przynajmniej *jednym z* warunków ponownego poddania handlu pod osąd zmysłu moralnego jest zastąpienie relacji gotówkowych relacjami interpersonalnymi, a to rzecz możliwa wyłącznie w wypadku, gdy producent i konsument się po prostu znają. I znów, można też zasadnie utrzymywać, że dopóki rynki światowe uznaje się za nieodzowny warunek handlu, przemysł musi zachowywać naturę spekulacyjną, co wynika z faktu, że w warunkach rynku światowego podaż wyprzedza popyt. Odwrócenie tego nienaturalnego stanu rzeczy to rzecz kluczowa dla produkcji użytkowej, wymaga ona zaś, między innymi, odrodzenia rynków lokalnych.

W podobny sposób, odrodzenie rynków lokalnych to konieczność z punktu widzenia sztuki. Jeśli kiedykolwiek mamy przywrócić w piękno w życiu społecznym, i sprawić, by przedmioty codziennego użytku znów stały się piękne, nie ma wątpliwości, że rynki lokalne muszą się odrodzić. Gdyby sztuka była zdrowa, hurtowy import wyrobów zagranicznych zwyczajnie by się nie utrzymał. Konsumenci o pewnym wyczuciu artystycznym domagaliby się, w większej części, dóbr wytworzonych lokalnie, których piękno odzwierciedlałoby zwyczajne doświadczenia ich wspólnego życia. Tak też Anglicy w ogóle nie importowaliby sztuki japońskiej, zorientowawszy się, że choć sztuka japońska to rzecz w Japonii jak najbardziej godna podziwu, to jednak jest ona od sztuki Zachodu tak dramatycznie różna, że jeśli umieścić ją w angielskim pokoju, wywołuje dysonans; z takich samych powodów, Japończycy nie importowaliby sztuki angielskiej.

Rozumnym argumentem przeciw takiej koncepcji może być to, że okresy najbardziej dynamicznego rozwoju sztuki zawsze łączyły się z intensyfikacją wymiany jej dzieł między różnymi krajami, że – istotnie – wiele z najwspanialszych przykładów biegłości rzemieślniczej, jakie krążyły po Europie w wiekach średnich i wcześniej, częstokroć emanowały z jednego centrum. Na przykład, rzeźby z kości słoniowej wytwarzano głównie w Aleksandrii, ich dystrybucja handlowa zaś nie tylko że nie działała na sztukę degenerująco, to przeciwnie: dała jej w tamtym czasie potężny impuls do rozwoju. Na to odpowiadam, że taki handel, polegający na wymianie luksusów, to coś fundamentalnie innego od handlu polegającego na wymianie artykułów codziennego użytku, ponieważ pierwszy może rzeczywiście przyczyniać się do poszerzenia perspektywy artystycznej, drugi natomiast zawsze kończy się ostatecznie doprowadzeniem wszystkich lokalnych tradycji kompozycyjnych do stanu beznadziejnego pomieszania i anarchii, ponieważ – prowadzona na wielką skalę – produkcja na rynki zagraniczne nie zasadza się zazwyczaj na wysyłaniu do innych krajów najlepszych wytworów sztuki rzemieślniczej, jakie tylko naród z siebie wydaje, ale przeciwnie: na dostarczaniu im tanich imitacji autentycznego, rodzimego rzemiosła – co jest interesem prowadzącym wprost do ruiny; ponieważ sprzedawanie rodzimych wyrobów zagranicą po jak najniższej cenie nie tylko kończy się ostatecznie zniszczeniem żywych tradycji obcych krajów, lecz również wyrządza ogromne szkody w domu, prowadząc raczej do konfuzji niż konsolidacji narodowych tradycji kompozycyjnych.

W dłuższej perspektywie, wielkoskalowy handel artykułami codziennego użytku mógłby sprzyjać rozwojowi sztuki wyłącznie, gdyby internacjonalizm stanowił nieodzowny warunek zdrowia aktywności artystycznej. Tak jednak nie jest. Sztuka międzynarodowa z konieczności eliminowałaby z siebie stopniowo wszystkie pierwiastki lokalne i prowincjonalne; po takiej eliminacji zaś, samej sztuki zostałoby jak na

lekarstwo. Całkiem zgodnie z prawdą można by rzec, na przykład, że klęska renesansu wynikła z międzynarodowego charakteru jego idei, z jego dążności do wyeliminowania ze sztuki wszystkiego, co byłoby czysto lokalne, której skutkiem okazał się ostateczny i kompletny imbecylizm, jakiego nigdy wcześniej nie widziano na świecie[*].

Rozważając finansowe aspekty kolektywizmu, napotykamy podobne błędy. Nacjonalizacja kapitału nie wydaje nam się szczególnie udaną propozycją rozwiązania finansowych problemów dnia dzisiejszego, biorąc pod uwagę, że – przynajmniej z jednego punktu widzenia – obecny kryzys ekonomiczny nie bierze się z nierównomiernej dystrybucji bogactwa, ale z faktu, że znaczna część pracy generuje dzisiaj nie społeczne bogactwo, ale raczej – by użyć tutaj określenia Ruskina – „diabelstwo"[5]. Kapitał, który rejestrujemy w tabelach ksiąg rachunkowych, to istotnie kapitał wyjątkowo teoretyczny. Bo, na przekór kalkulacjom statystycznym (przy pomocy których, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, można udowodnić wszystko, co tylko się chce), nie stajemy się z każdym rokiem coraz bogatsi, ale coraz biedniejsi, winę za to ponosi zaś – jak uważamy – nasz obecny system finansowy, który – nie zajmując się rzeczami, ale tylko konstruowanym „na nich" rachunkiem zysków i strat – nie potrafi rozróżnić aktywów i pasywów.

Niech będzie mi wolno objaśnić, co mam na myśli, na konkretnym przykładzie. Weźmy choćby tramwaje. Jasne jest, że z punktu widzenia prywatnego kapitalisty, którego celem jest generacja zysków, tramwaj należy uznać za składnik aktywów. Z punktu widzenia społeczeństwa wszakże, wygląda to zupełnie inaczej. W księdze rachunkowej narodu, tramwaj nie jest składnikiem aktywów, a pasywów. Prawda, że posiadany przez miasto tramwaj umożliwia mieszkańcom przechwycenie profitów, które w innym wypadku napychałyby kieszenie prywatnego kapitalisty, ale samo to nie wystarczy, aby tramwaj ten wszedł w skład aktywów miejskiego budżetu; lecz tylko nieco „wyciąga" go ze składu pasywów. Tramwaj należy do pasywów – ponieważ posiadanie go nie stanowi naturalnej potrzeby człowieka, tylko sztuczną, generowaną przez nienormalny rozrost miast i dystrybucji krzyżowej. Jeśli ktoś musi codziennie przemieszczać się do pracy z New Cross do centrum Londynu, pomaga tramwajowi zarabiać na siebie, ale ze względu na konieczność odbywania tej podróży, sam staje się biedniejszy. Być może, że staje się bogatszy o *czas,* który uda mu się zaoszczędzić dzięki temu, że nie musi chodzić pieszo. Ale samo to, że ktoś mieszkający w jednej części miasta musi pracować w zupełnie innej, jako taki jest niekorzystny – czyli, jeśli opisać to w kategoriach finansów publicznych, należy do pasywów, i żadne żonglowanie słupkami nic tutaj

* Warto przy tej okazji zauważyć, że porzucenie międzynarodowego ideału renesansu i powrót do narodowych i lokalnych tradycji stoi u podstaw znacznej części obecnego odrodzenia w architekturze.

5 W oryginale gra słów jest inna: „wealth – 'illth'". Podaję, bo jest piękna.

nie zmieni. Tak też choć względy wygody zdają się sugerować, że rzeczą praktyczną dla miasta jest posiadać własny tabor tramwajowy, nie możemy w pełni zasadnie uważać go za składnik aktywów narodowych, ani zakładać, że zmiana formy własności z prywatnej na publiczną to krok w kierunku rozwiązania obecnych problemów społecznych.

Tę samą próbę przeprowadzić można w dosłownie każdej innej dziedzinie życia społecznego – choć może się to okazać bardzo trudne. Bo jaka część cywilizacji będzie stanowić w danych warunkach składnik aktywów, a jaka pasywów, bardzo często niezwykle trudno ustalić. Być może, że po dłuższym zastanowieniu okaże się, że cywilizacja jako taka stanowi część pasywów, za którą przychodzi płacić człowiekowi własnym potem; że sekret obecnego kryzysu finansowego tkwi w fakcie, że cywilizacja współczesna stała się nadmiernie sztuczna i nie jesteśmy już w stanie na nią zarobić. W każdym wypadku, im bardziej uda nam się zredukować nasze potrzeby, tym rzeczywiście bogatsi staniemy się jako naród. Dlatego też wydaje mi się, że choć na potrzeby argumentacji należy przyjąć, że nacjonalizacja przemysłu jest możliwa do przeprowadzenia, właściwy kierunek działania, jaki powinniśmy przyjąć, to nie nacjonalizacja środków dystrybucji, ale produkcji, którą należy rozpocząć od samego dołu, od rolnictwa, by potem, oparłszy się na tej opoce rzeczywistości jak na fundamencie, wznosić kolejne piętra budowli społecznej, dokładając jak największych starań, by unikać mnożenia rozwiązań tymczasowych i zawsze mieć na względzie przyszłe pokolenia. Dokładnie dlatego, że od początku ery systemu rynkowego jako jednostki i jako zbiorowość działamy według zasady, że przyszłość zatroszczy się sama o siebie, społeczeństwo obciążone jest brzemieniem utrzymywania coraz większej ilości instytucji, mających zaspokajać jego tymczasowe potrzeby – i systematycznie biedniejemy[*].

Czynnikiem blisko związanym z opisanym wyżej błędem w kwestiach finansowych, a także częściowo jego przyczyną, jest mniej lub bardziej świadome przyjęcie przez kolektywistów opinii filozofów utylitaryzmu, głoszącej jakoby wydawanie nadwyżki bogactwa na sztukę nie leżało w interesie społeczeństwa. To wielka pomyłka – bo z punktu widzenia finansów publicznych takie wydatkowanie nadwyżki dostarcza zaworu bezpieczeństwa, pozwalającego zapobiegać wewnętrznym komplikacjom. Obcinanie wydatków na sztukę, wbrew temu co wydają się twierdzić ekonomiści polityczni, nie przynosi społeczeństwu korzyści i nie sprzyja wpompowaniu tych pieniędzy w nowe, produktywne inicjatywy, ale

* Lokalne obciążania podatkowe wzrosły z 17 000 000 funtów w 1869 roku do 40 000 000 w 1900, ze względu na zwiększenie wydatków na walkę z ubóstwem, edukację, policję, pogrzeby, administrację, naprawdę ulic, kanalizację, szpitale chorób zakaźnych, szpitale psychiatryczne, łaźnie, pralnie, budowę dróg, oświetlenie miejskie itd. – H.T. Muggeridge, „Pamflet na spisek antymunicypalny".

raczej – w dłuższej perspektywie – przynosi skutek odwrotny i tylko pogłębia problem, co już się zresztą jasno okazało. Wyjaśnijmy to obrazowo.

W produkcję zaangażowanych jest stu ludzi; poczyńmy sztuczne rozróżnienie i załóżmy, że siedemdziesięciu pięciu z nich zajmuje się produkcją artykułów pierwszej potrzeby, dwudziestu pięciu zaś – sztuki (słowa „sztuka" używamy tu na oznaczenie tych dóbr, które nie zaspokajają bezpośrednio potrzeb ciała). Nagle, wynajduje się maszynę, która pozwala pięćdziesięciu ludziom wykonywać pracę dotychczas wymagającą wysiłku siedemdziesięciu pięciu pracowników. Równowaga produkcji zostaje zniszczona, ponieważ stu ludzie będzie za moment walczyć o siedemdziesiąt pięć miejsc pracy. Ewidentnie zatem, przywrócenie ładu w produkcji wymaga wykonania jednego z dwóch ruchów: albo należy równomiernie zmniejszyć czas pracy, albo wygenerowaną nadwyżkę (niezależnie, czy pozostającą w rękach producenta, czy konsumenta) wykorzystać w celu zatrudnienia zwolnionych dwudziestu pięciu przy produkcji sztuki. Mogą wdać się tu jeszcze inne czynniki, zmieniające nieco postać rzeczy, takie jak choćby zwiększenie popytu na artykuły pierwszej potrzeby, mające związek z obniżką ich ceny, niemniej, nie odgrywają one wielkiej roli, ze względu na fakt iż w podobnych warunkach podnoszenie pensji robotników nie uchodzi za rzecz normalną, tak że konsumpcja tych artykułów utrzymuje się właściwie na stałym poziomie. Jeśli nie zapewni się zatrudnienia dwudziestu pięciu zwolnionym, cały przemysł dotknie zaraza, biorąca się ze zniszczenia równowagi podaży i popytu. A więc *jakoś* trzeba ich zatrudnić, i tak to ostatnio wychodzi, że zazwyczaj wykorzystuje się ich do celów bojowych, przerabiając na wędrownych kupców lub reklamiarzy, żołnierzy konkurencji, walczących w imię handlu, który dziś nie potrafi nawet zapewnić pracy wszystkim, którzy są do niej zdolni. Wszelka korzyść, którą podobny wynalazek mógłby przynieść społeczeństwu, jest zatem stracona. W ostatecznym rozrachunku koszty produkcji nie maleją, a rosną, ponieważ maszynowa konkurencja zaczyna pochłaniać nawet normalne profity, i pozostaje tylko jeden wybór: należy albo podnieść ceny albo obniżyć jakość, aby wyrównać różnicę.

Jednak na tym zło się nie kończy. Bo teraz, gdy rynki zaczynają wprost pękać w szwach, nie da się już nie zauważać całego nieszczęścia, jakie wynika z praktyki, której nasi ekonomiści polityczni zapewnili sankcję niemalże religijną, mianowicie: systematycznego reinwestowania nadwyżek bogactwa w nowe inicjatywy produktywne – ponieważ skutkiem tego jest naraz obniżka pensji ze względu na przekapitalizowanie przemysłu i zwiększenie kosztów produkcji. Przeciążanie naszych rynków nie pozwala właściwie nowym inwestycjom wejść na giełdę. W konsekwencji inwestycje przepoczwarzają się z prywatnych interesów w spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Tak też prywatny biznes z kapitałem, powiedzmy, £50 000 , wchodzi na giełdę w formie spółki z kapitałem £75 000; z czego dodatkowe £25 000

wydaje się na budowę reputacji firmy i działania promocyjne. I teraz, gdy biznes dysponuje większą ilością kapitału, okaże się niechybnie, że aby osiągać takie same zyski jak dotąd (niezbędnie potrzebne do spłaty kredytu, jeśli nie do czegoś innego), należy ciąć koszty wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Tak też zazwyczaj gdy jakaś prywatna firma przekształca się w spółkę, a robotnicy nie są zrzeszeni w jakimś wpływowym związku zawodowym, zaczynają się obniżki pensji; jeśli zaś związek zawodowy temu zapobiegnie, starzy pracownicy są sukcesywnie zwalniani, aby zrobić miejsce młodszym i bardziej energicznym, podczas gdy zarząd nie przepuszcza ani jednej okazji, by podnieść cenę produktu, albo podrobić go ordynarnie celem redukcji kosztów produkcji.

To właśnie, jak spokojnie można powiedzieć, istota tego, co się dzisiaj dzieje. Lecz choć kolektywistom przypadkowo zdarza się czasem biadać nad obniżką pensji, to generalnie witają tę zmianę z otwartymi ramionami, widząc w niej krok w kierunku nacjonalizacji kapitału. Z mojego punktu widzenia wszakże, zmiana ta ma jeszcze inny aspekt, ponieważ oczywistością jest, że tak długo, jak długo będziemy trzymać się bezkrytycznie współczesnej zasady finansów – mianowicie: że każdy kapitał powinien przynosić odsetki – i podsycać wciąż utylitarystyczną pomyłkę, jakoby wydawanie pieniędzy na sztukę było dla społeczeństwa zwykłą stratą, poziom przekapitalizowania przemysłu musi się zwiększać. Podstawowym faktem jest, że dopóki nie zakwestionuje się obecnych zasad finansowych, prosty transfer pieniędzy z sektora prywatnego do publicznego nie może przynieść w przemyśle żadnych dostrzegalnych skutków, ponieważ społeczeństwo dające wiarę tym teoriom musi, niczym prywatny fabrykant, przedłożyć korzyści kapitałowe nad korzyści życiowe – te zaś, na wieczność pozostają w konflikcie.

Obecna rynkowa praktyka reinwestowania zysków jest bezpośrednio odpowiedzialna za separację klasową, ponieważ wyciąga pieniądze z sektorów, które ich potrzebują i zmusza je do krążenia po orbitach, na których są zbędne. Z ludzkiej strony biorąc, jest to przyczyną wielkiego kontrastu ekstrawagancji i nędzy współczesnych społeczeństw – w sprawach przemysłu zaś, podcięło korzenie wszystkich zdrowych metod produkcji. Odziera z piękna rzeczy naprawdę użytkowe, aby wygenerować nadwyżki, za które potem można kupować luksusy – przemieniając sztukę w rzecz egzotyczną i sztuczną, bo źródło sztuki tkwi w użyteczności, a nie luksusie. Jako iż to jest właśnie jeden z paradoksów naszego tak zwanie utylitarnego społeczeństwa: że nigdy nie inwestuje ono w rzeczy prawdziwie użyteczne tyle, aby zapewnić im jakość. Nie – najpierw przerabiamy je na tandetę, by potem – z kolosalnymi sukcesami transformując wszelką użyteczną robotę w harówkę nie do zniesienia – wydawać nadwyżki na przeróżne dywersje w rodzaju darmowych bibliotek, galerii sztuki i tym podobne.

A jednak, dlaczego właściwie towary użyteczne miałyby się spłacać? Dlaczego zakładać, że to, co praktyczne, zawsze powinno generować zyski? Dlaczego, na przykład, budżety miejskie zawsze planuje się z założeniem, że domy robotnicze powinny być rentowne, gdy za galerie sztuki i darmowe biblioteki płaci się z podatków od nieruchomości? Dlaczego, na przykład, jakaś część pieniędzy, które się na nie wydaje, nie mogłaby zostać przeznaczona na upiększenie domów robotniczych? I jeśli jedna rzecz nie musi się spłacać – dlaczego druga musi?

Szczerze, nie widzę żadnego powodu poza przesądami finansistów i fatalną tendencją świata współczesnego, zmuszającą całą rzeczywistość do krystalizowania się w formułki. W omawianym wyżej wypadku, większa hojność w sprawach takich, jak choćby miejskie domy czynszowe, zrobiłaby dla rozwoju sztuki więcej, niż największe nawet wydatki na galerie – pod warunkiem, że udałoby się zaangażować w ich budowę architektów prawdziwych, a nie komercyjnych. Pewne jest, że solidnych i dobrych domów i gospodarstw przeszłości nigdy nie budowano po to, aby przynosiły pieniądze – i nigdy nie zdołamy zapewnić schronienia klasom biedniejszym, jeżeli będziemy chcieli na tym zarobić. Fakty są takie, że w *prawdziwie zdrowych finansach, tak jak w życiu, nie ma stałej formuły*, współcześni reformatorzy zaś, nie są w stanie opracować naprawdę efektywnych środków zmiany społecznej dokładnie z tego względu, że nigdy nie przemyśleli kwestii prawdziwości bądź nieprawdziwości obowiązujących zasad finansowych.

Kolejny przykład klęski założeń kolektywizmu znaleźć można w traktacie fabiańskim zatytułowanym „Polityka dwudziestego stulecia: wydajność gospodarcza narodu", który wyszedł spod pióra pana Sidneya Webba[6]. Pan Sidney Webb daje w nim zarys tego, co jego zdaniem powinno stanowić program każdej rzeczywiście postępowej i reformatorskiej partii politycznej. Po nakreśleniu kształtu poszczególnych reform, pan Webb przechodzi do rozważenia praktycznych środków działania. I tutaj ponosi kompletną porażkę. Nie wiem bowiem kompletnie, skąd mogłaby wziąć się energia, której niezbędnie potrzebują. W związku z czym, w geście desperacji, proponuje autorską metodę sztucznego pobudzenia aktywności politycznej, która w „Punch"[7] mogłaby stać się prawdziwą perełką – i włączanie jej do traktatu Towarzystwa Fabiańskiego to zwykłe marnotrawstwo.

6 Sidney Jakub Webb (1859-1947) – angielski socjalista, ekonomista, jeden z założycieli Towarzystwa Fabiańskiego.

7 Angielski magazyn satyryczny, założony w 1841 roku.

Zauważając, że Komisja Nadzoru nad Samorządami[8] zawsze musi siłą wymuszać na władzach lokalnych utrzymanie minimum narodowego[9], pan Webb pisze: „aby wygenerować coś wyżej tego minimum, mądry minister mógłby wykorzystać skuteczną mieszkankę premii i presji. Za pomocą publicznych przemówień, osobistych rozmów z burmistrzami i urzędnikami, a także publikacji ministerialnych, mógłby wzbudzić wśród władz lokalnych największe możliwe współzawodnictwo o największy rozmach w aktywności municypalnej. Już dzisiaj porównuje się różne miasta, w odstępach kwartalnych, pod względem umieralności, ale póki co ledwie ogólnie, nienaukowo i niedbale. Dlaczego zatem Komisja Nadzoru nad Samorządami nie mogłaby otwarcie zaangażować wszystkich władz lokalnych w honorową rywalizację, corocznie badając skuteczność polityki municypalnej, przyznając na bazie statystyk oceny za, choćby, rozwój kanalizacji, dostarczanie wody, budowę chodników, czystość ulic, bezpieczeństwo i oświetlenie, politykę mieszkaniową, poziom szpitali, usługi medyczne, kwestie zdrowia i moralności, udostępniając oficjalne raporty opinii publicznej? Więcej nawet – ministerstwo płonące prawdziwą gorliwością o wydajność narodu wykorzystałoby wszystkie możliwości, byle tylko zachęcić samorządy do rozwoju lokalnego. Król mógłby wręczać 'Tarczę Honoru' samorządowi, który poczynił w danym roku największe postępy, a także pasować burmistrza na rycerza i wręczyć Order Łaźni[10] jednemu urzędnikowi, inżynierowi i inspektorowi zdrowia. Z drugiej strony, sześć czy osiem dystryktów, które znalazłyby się na dole listy, można by wystawić na publiczną sromotę, a oficjalny raport o ich niepowodzeniach wysłać do każdego wyborcy z danego dystryktu, w nadziei że debata publiczna skłoni mieszkańców do wybierania bardziej kompetentnych rządzących". (Można przypuszczać, że pan Webb zgodziłby się z definicją nowoczesnej koncepcji postępu, ukutą przez pana Mallocka[11]: postęp to rozwój, który mierzą statystyki, podobnie jak edukacja to rozwój, który mierzą egzaminy).

Najbardziej interesującą sprzecznością, w którą popadł kolektywizm, i która skuteczniej niż inne odsłania słabość tez jego orędowników, jest ta, która w czasie ostatniej wojny[12] podzieliła to stronnictwo na pół; bo choć kolektywiści na ogół widzieli, że w tej wojnie chodzi o motywacje rynkowe, że prowadzi się ją

8 Oryg. *Local Govermnet Board* – centralna komisja, sprawująca nadzór nad samorządami Anglii i Walii w latach 1871-1919.

9 Ładne określenie na minimum skuteczności we wdrażaniu reform społecznych, jakiego wymagano od każdego samorządu po ustanowieniu LGB. Instytucja ta była straszliwie krytykowana w kręgach liberalnych, ponieważ nie uwzględniała specyfiki lokalnej: klimatycznej, mentalnościowej, finansowej itd.

10 Znaczne odznaczenie brytyjskie, ustanowione w 1725 roku.

11 William Hurrell Mallock (1849-1923) – angielski pisarz, autor powieści i traktatów ekonomicznych; przeciwnik socjalizmu i pozytywizmu, obrońca Kościoła, który nigdy nie przeszedł na katolicyzm.

12 II wojny burskiej.

w imię interesów niemoralnych, południowoafrykańskich finansistów, to tylko część spośród nich opowiedziała się przeciw niej, jako rzeczy fundamentalnie niesprawiedliwej, reszta zaś argumentowała, jakoby z kolektywistycznego punktu widzenia najlepszym wyjściem było pozwolić sprawie toczyć się własnym torem, ponieważ melodią przyszłości jest nie nacjonalizm, a internacjonalizm, i zjednoczenie Afryki Południowej, pomimo przejściowej niesprawiedliwości, przyśpieszy nadejście kolektywistycznego milenium.

Z kolektywistycznej perspektywy, oba te stanowiska są zasadne. Pierwsza to konieczna logicznie dedukcja, wynikająca z poglądu kolektywistów na moralną stronę handlu. Skoro rozpoznali, że kapitalizm jest właściwą przyczyną obecnego zła społecznego, mieli pełną słuszność, gdy zdecydowali się przeciąć jego ofensywę. A jednak, zajmując właśnie takie stanowisko, popadli w konflikt z własną teorią ewolucji społecznej, która głosi, że rozwój kapitalistycznej kontroli nad gospodarką oraz internacjonalizmu to konieczny krok w postępie ku milenium socjalistycznemu. Podczas gdy ci, którzy bronili kolektywistycznej teorii ewolucji społecznej zostali zmuszeni do nieprzyjemnego kompromisu z całym złem, które pragnęli wyeliminować.

Jakie jest, zatem, znaczenie kolektywizmu? Czy to objaw choroby społecznej, czy – przeciwnie – oznaka zdrowia społecznego? Odpowiedź jest taka, że zawiera on w sobie elementy obu tych rzeczy. Kolektywizm powstał w celu wykonania określonej pracy, i jak ją skończy, z całą pewnością zniknie. Jak liberalizm pojawił się jako opozycja w stosunku do zepsutych oligarchii wieku osiemnastego, tak kolektywizm powstał dokładnie po to, aby usunąć zło, jakie pojawiło się wraz z nadejściem liberalizmu – rozwiać leseferystyczne iluzje Szkoły Manchesterskiej – ujawnić nieludzki charakter systemu rynkowego – odrodzić w społeczeństwie zmysł moralny i przywrócić mu stracony ideał życia wspólnego. To właśnie kolektywizmowi zawdzięczamy świadomość tych idei, afirmując je zaś, potwierdził sensowność swego istnienia. Oprócz tego, być może, że metoda statystyczna, którą wykorzystywał, choć niemożliwa do zastosowania przy realnej rekonstrukcji społecznej, stanowiła w swoim czasie jedyny skuteczny środek wpojenia duszy narodu pewnych zasadniczych prawd. Istotnie, kolektywizm puścił w ruch siły, które być może uda się jeszcze wykorzystać na prawdziwe odrodzenie. Ale na tej samej zasadzie, na jakiej liberalizm poniósł klęskę, ponieważ za narzędzie osiągnięcia zamierzonych celów wybrał ustrój plutokratyczny, tak też kolektywizm musi ponieść porażkę – ponieważ nie zdołał przebić się do tłumów.

Uczucie bardziej zbliża się do prawdy, niż logika, i widząc wahanie mas, kolektywista może jeszcze, jeśli zechce, przyjść do rezygnacji z przyjętych metod. Ludzie słusznie czynią, odrzucając tę

doktrynę; jest w tym jakaś nieświadoma mądrość. Lud instynktownie wyczuwa, że rząd to nie jego rzecz; rządzenie go przerasta – i jakby pod jakimś prawdziwym natchnieniem nie chce się już angażować w coś, czego nie rozumie. Lud ma tutaj słuszność w innym jeszcze, bardzo wzniosłym sensie. Nie tylko dowodzi przez swą obojętność, że polityka straciła kontakt z rzeczywistością, ale wyczuwa instynktownie, że do Utopii nie dotrze się drogą wskazaną przez kolektywistów; bo kolektywizm popełnił jeden wielki i fundamentalny błąd. Pragnął uleczyć chciwość jednostek chciwością wielu – jak gdyby szatan mógł wyrzucać szatana.

## Rozdział II – Ewolucja społeczna

Główną przyczyną, dla której kolektywizm nie może spełnić warunków wymaganych dla stworzenia sprawiedliwego ustroju społecznego, jest to, że koncentrując się wyłącznie na materialnych bolączkach obecnego społeczeństwa, traci z oczu duchową stronę problemu; bo istotnie, zło, które kolektywizm pragnie usunąć, to nic innego, jak tylko zbiór łatwiej dostrzegalnych objawów wewnętrznej, duchowej choroby. Religia, sztuka i filozofia znalazły się ostatnimi dniami w potężnym kryzysie, i obecne problemy społeczne, takie, jak się je powszechnie rozumie, to po prostu symptomy towarzyszące.

Prawda tego stwierdzenia uderza nas, gdy popatrzymy na obecny stan rzeczy z perspektywy ewolucji społecznej. Wtedy właśnie jesteśmy w stanie dostrzec, jak rozrost tych zewnętrznych, materialnych problemów splata się w każdym punkcie z wewnętrznym kryzysem duchowym, który wyzuwszy życie z religii, filozofii i sztuki, przyprawił cywilizację o spazmy materializmu z towarzyszącymi mu nieodłącznie brzydotą i żądzą zysku, za którym gonił lekkomyślnie cały wiek dziewiętnasty, i który zostawił nam w dziedzictwo układy, trusty i monopole, wyzyskujące współczesne społeczeństwo. Bo gdyby siły duchowe nie osłabły wśród nas aż do kompletnej bierności, ewolucja społeczna nie zmierzałaby dzisiaj w kierunku nędznego ideału kolektywistycznego, ale w kierunku owej subtelniejszej formy indywidualizmu, na której będzie musiał się oprzeć socjalizm przyszłości.

Aby zrozumieć związek tych wszystkich spraw trzeba nam cofnąć się aż do czasów renesansu włoskiego, kiedy to po raz pierwszy narodziła się w ludzkim umyśle koncepcja zaszczepienia ideałów starożytności chrześcijańskim narodom Europy. Cywilizacja chrześcijańska była niewątpliwie w stosunku do pogaństwa regresem, w tym sensie, że wolność myśli, dawniej dozwoloną, wypleniła zewsząd chrześcijańska dogmatyka. A jednak, paradoksalnie, choć z jednego punktu widzenia regresu tego należy żałować, to ogólnie przyniósł on spore korzyści, bo oprócz tego, że wzmocnił w społeczeństwie kręgosłup moralny, to ubogacił rodzaj ludzki o nowe doświadczenia. Jeśli istotnie nałożył na umysł pewne ograniczenia, to zdecydowanie zmniejszył w ten sposób ograniczenia wyobraźni. Bo dokładnie dlatego, że w wiekach średnich ludzie nie musieli niepokoić się tysiącami wątpliwości i trudności, które towarzyszą aktywnemu życiu intelektualnemu, byli w stanie rozwinąć w sobie owo romantyczne poczucie piękna, które pozwoliło im wybudować wszystkie wspaniałe katedry i opactwa, pokrywające całą powierzchnię Europy.

Tak też, bynajmniej nie przyjmując za swoją wątpliwej teorii, jakoby średniowiecze było epoką pod każdym względem idealną, i mając pewność, że pod pewnymi względami było w niej gorzej, niż w naszej, mniemam, że jednak musimy pogodzić się z pewną niższością. Była to epoka większa od naszej w tym sensie, że miała „poczucie wielkich proporcji rzeczy" i mocą jego świateł szukała tego, co doskonałe. Bo religia i sztuka odgrywały wtedy w życiu niezwykle poważną rolę, podczas gdy handel i polityka, dzisiaj uzurpatorzy całej naszej energii, ściśle podporządkowane były tym atrybutom doskonałości. Skutek tego stanu rzeczy był taki, że ludzie naprawdę potrafili wcielić w czyn *dictum*: „Kochaj bliźniego jak siebie samego"; i zasadę solidarności zaczęto uznawać w każdym elemencie struktury społecznej. Każda sekcja społeczności miała właściwe sobie obowiązki i zazdrośnie strzeżono się przed jakimkolwiek pomieszaniem funkcji. W miastach, rzemieślnicy i kupcy organizowali się w cechy; pierwsi dla ochrony i edukacji, a także by utrzymać wysokie standardy jakości produkcji, drudzy zaś – dla ułatwień w wymianie i dystrybucji handlowej. Z drugiej strony, wielkie majątki lenne, nad którymi kontrolę w systemie feudalnym sprawowała szlachta, tworzone były i zarządzane według bardzo starannie przygotowanego i złożonego systemu, polityczny status każdej jednostki zaś określały i gwarantowały prawa feudalne i uniwersalny kodeks moralny, którego nauczał i którego strzegł mocą swej powagi Kościół Rzymski.

Podobnie, jeśli przyjrzymy się zewnętrznym aspektom życia tej epoki, tym, co robi na nas największe wrażenie jest cudowne i powszechne piękno wszystkiego, co przetrwało z niej do naszych czasów. Wieki średnie były wielkie nie tylko w dokonaniach architektonicznych, ale nawet najskromniejsze wytwory rzemiosła, nawet zwykłe narzędzia tamtego czasu, były piękne. Jakiż to kontrast z momentem obecnym, kiedy czymś równie powszechnym jest tylko brzydota. Nieważne, na co spojrzeć, czy na centrum miasta, czy na przedmieście, na ogród czy dom; na nasze ubrania czy meble; gdziekolwiek jest nowoczesność, znajdzie się także wulgarność. Bo nie ma od tej brzydoty zgoła żadnej ucieczki, chyba tylko w rzeczach tworzonych przez niewielką i wykształconą mniejszość, świadomą swego wyobcowania z ogółu społeczeństwa. Zmiana ta zaczęła się już w renesansie, w epoce, w której podcięto korzenie tradycji* – płodnych źródeł bytu średniowiecza.

* „Każdy wytwór sztuki tradycyjnej ma trwałość i treść, o których żaden indywidualny artysta nie może nawet marzyć – to skutki organicznego procesu myśli i pracy. Wielki artysta mógł go trochę wyprzedzać, słaby artysta mógł trochę za nim nie nadążać, ale dzieło jako całość było właściwie tworem obyczaju, kształtowanym i doskonalonym mocą doświadczeń życiowych, obejmujących swym zasięgiem wieki". – „Sztuka średniowieczna" pióra prof. W.R. Lethabyego [William Ryszard Lethaby (1857-1931) – angielski architekt, historyk architektury, zaangażowany w ruch Sztuki i Rzemiosła, orędownik konserwacji zabytków średniowiecznych – przyp. tłumacza].

Poczucie ciągłości tradycji tak zupełnie ulotniło się ze współczesnego życia, że większość z nas ma duże trudności ze zrozumieniem, co tak naprawdę ono oznacza. W mniejszym lub większym stopniu, i tylko w nędznej formie konwencji, zwyczaju lub nawyku, jest ono zawsze przy nas w jakiś sposób obecne. To jednak zupełnie co innego od tradycji żywej, która przetrwała aż do renesansu, i której znaczenie pojmiemy najlepiej, jeśli rozważymy ją w jej relacji do sztuki.

Tradycja zatem, w relacji do sztuki, może być opisana jako obowiązujący język kompozycji, i istotnie, kompozycja w wiekach średnich wykazuje uderzające podobieństwo z mową potoczną, w tym sensie, że biegłość kompozycyjna nie była, tak jak teraz, zarezerwowana dla ekskluzywnej kasty – zamkniętej grupy ludzi, wypisujących recepty posłusznym rzemieślnikom – ale, dokładnie tak, jak język, stanowiła własność wspólną ogółu. Pewne tradycyjne metody pracy, pewne koncepcje kompozycji i techniki wykonania uznawano powszechnie, w związku z czym, gdy rzemieślnik otrzymywał jakieś zlecenie nie musiał, jak jego współczesny następca, tworzyć z niczego, ale mógł korzystać z całego bogactwa tradycji, jako ze zrozumiałego dla wszystkich środka wyrazu. Dlatego też w tamtych czasach sztuka i rzemiosło były ze sobą tożsame – artysta zawsze był rzemieślnikiem, a rzemieślnik artystą. W tworzenie architektury nie musiał angażować się żaden architekt, we współczesnym tego słowa znaczeniu nadzorcy, czuwającego nad projektem i wykonaniem każdego szczegółu, ponieważ skoro każdy rzemieślnik był do pewnego stopnia artystą, za szczegółowe rozwiązania ornamentacyjne odpowiadali bezpośrednio przedstawiciele każdego zaangażowanego fachu, podlegający ledwie ogólnej kontroli, koniecznej do zabezpieczenia spójności efektu końcowego. Architektura była zatem wtedy wielką sztuką kooperatywną, wyrazem życia i ducha narodu.

Być może pełniej zdajemy sobie sprawę z rzeczywistej roli tradycji przy porównaniu warunków, w jakich funkcjonowało rzemiosło w tamtych czasach, z tymi, w których przyszło mu funkcjonować dzisiaj. Rzemieślnik współczesny, pozbawiony przewodnictwa zdrowej tradycji, otoczony jest zewsząd przez całe mnóstwo form, które przetrwały – nędzne i zwulgaryzowane – mimo że ich intelektualne źródło dawno wyschło. W konsekwencji, rzemieślnik ów korzysta z nich nie tylko bez śladu zrozumienia ich właściwego sensu, ale kompletnie nie zdając sobie sprawy, że kiedyś rzeczywiście miały one jakiś sens, w związku z czym szanse na skonstruowanie zrozumiałego komunikatu są w jego wypadku mniej więcej takie, jakie byłyby w wypadku człowieka posługującego się na co dzień chaotyczną mieszanką wszystkich języków świata, pozbawionego świadomości, że słowa w ogóle mogą mieć jasno określone znaczenie.

W takich warunkach, współczesny projektant bądź rzemieślnik, aby stworzyć coś wartościowego musi wykonać niepomiernie większą pracę niż jego poprzednicy. Nie jest to już tylko kwestia dobrego smaku – bo w pierwszym rzędzie trzeba mu odzyskać, własnymi siłami, spójny język ekspresji. Musi zatem być nie tylko artystą, ale jeszcze dodatkowo, jak można to nazwać, „etymologiem form". Czyż zatem mamy prawo dziwić się, że dobrej sztuki powstaje w czasach współczesnych tak bardzo niewiele?

Podobnie widzimy, że brak lub degradacja tradycji zaznacza swoją fatalną moc w każdej dziedzinie życia, ponieważ tak jak rzemieślnik nie może już tworzyć pięknych kompozycji ze względu na utratę dostępu do żywej tradycji kompozycyjnej, tak też ogół żyje nieludzko i nienaturalnie, ponieważ sztuka prawego życia została dokumentnie stracona, a spontaniczność i instynkty ustąpiły miejsca konwencjom i modom, sprawującym nad gronem swych ofiar tyranię niemożliwą do ogarnięcia rozumem. Przypadkowo mogę powołać się tutaj na świadectwo pana Bernarda Shawa, który w „Człowieku i nadczłowieku" zwraca uwagę na tę samą prawdę. Otóż, pan Shaw stwierdza w tym dziele, że angielscy krytycy nisko cenią książki autorstwa pana Zoli nie dlatego, że uznają je za niemoralne, ale dlatego, że nigdy nie nauczyli się mówić o podobnych sprawach w sposób przyzwoity, w związku z czym nie dysponują językiem, który pozwalałby im wyrazić to, co myślą.

Wracając wszakże do tematu: powiedziałem, że renesans, podciąwszy korzenie tradycji, stał się przyczyną stanu rzeczy, jaki widzimy dzisiaj. Pragnąc wyswobodzić ludzkość z kajdan średniowiecza, renesans zniszczył niestety wszystko, co było w tej epoce dobre i wartościowe.

Nie umniejszając ani trochę ostatecznych korzyści, jakie wzrost ducha krytycznego, zapoczątkowany w renesansie, przyniesie jeszcze rodzajowi ludzkiemu, trzeba powiedzieć, że ten rozwój duchowy wykorzystywano dotychczas katastrofalnie. Powszechnie uznaje się na przykład dzisiaj, że podważając autorytet Kościoła i Biblii, duch krytyczny walnie przyczynił się do odarcia idei z charakteru sakralnego – ale mało kto zdaje sobie sprawę, że ten sam duch stał się przyczyną rozdziału sztuki od życia, wywołując w ten sposób jej poważny kryzys. Najpierw obserwujemy stopniowe formowanie się kanonów smaku; potem zaczynają powstawać akademie, narzucające ogółowi ścisłe standardy klasycyzmu, a na koniec tradycja – dotąd źródło artystycznej witalności – całkowicie umiera. Rozwód sztuki i życia staje się kompletny.

Sztuka, przestawszy wyrażać uczucia i myśli całego ludu, staje się zabawką koneserów i *dilettante'ów*, ukrywaną za murami galerii i muzeów, życie zaś, straciwszy umiejętność wysokiej

autoekspresji, krystalizuje się w konwencje i we wszystkich swoich manifestacjach popada w niespotykaną brzydotę.

Jednocześnie z rozdziałem sztuki i życia dokonuje się rozdział artysty i rzemieślnika. Gdy sztuki piękne odwracają się całkowicie od swych uboższych bliźnich, rzemiosło degeneruje się wszędzie w produkcję masową – a w miarę jak różnorodność zastępuje w funkcji ideału produkcyjnego uniformizacja, nowe wynalazki maszynowe opracowuje się przede wszystkim pod kątem sprawności powielania. By pomieścić nowe maszyny, buduje się fabryki, by sprawnie je obsługiwać, wprowadza się nową organizację pracy i by uniknąć, przynajmniej tymczasowo, kryzysów związanych z nadprodukcją, chciwi fabrykanci coraz bardziej zdecydowanie zmierzają w kierunku stworzenia rynków światowych. W tym momencie, gdy podaż zaczyna wyprzedzać popyt, następuje całkowity rozdział produkcji i użyteczności – ponieważ w takich warunkach to spekulacje, a nie ludzkie potrzeby, stają się w produkcji główną siłą napędową. Biznes i pogoń za pieniądzem stają się jedynym celem życiowym, cechy degenerują się w ekskluzywne korporacje, czeladnik traci pozycję, jaką dotychczas zajmował w strukturze społecznej i zostaje zepchnięty na kompletny margines, a z rosnącego niezadowolenia mas poczynają się ruchy demokratyczne.

Jak się zdaje, tak właśnie wygląda prawdziwa interpretacja ewolucji społecznej – religia, sztuka i filozofia separują się od życia, a biznes, robienie pieniędzy i polityka, dotychczas podporządkowane pierwszym trzem atrybutom doskonałości, stają się jedynym celem życiowym. To odwrócenie naturalnego porządku rzeczy należy uznać za przyczynę pogłębiającego się wciąż problemu społecznego.

Co przyniesie nam przyszłość, naprawdę trudno powiedzieć. Wydawać by się mogło, że obecny system skazany jest na klęskę – bo gnije od środka. System rynkowy zbierze co posiał – katastrofa społeczna to jego naturalne i właściwe żniwo. Cały wiek odwlekamy w czasie moment, w którym nieuregulowana produkcja przyniesie swoje owoce, i wydalamy nadmiar towarów na rynkach zagranicznych; ten proceder nie może jednak trwać nieskończoność, i problem, któremu należało odważnie stawić czoła sto lat temu, świeżo po wprowadzeniu produkcji maszynowej, gdy był jeszcze relatywnie niewielki, trzeba będzie rozwiązać teraz, gdy stał się gigantyczny. Obcokrajowiec, niegdyś nasz klient, zmienił się w konkurenta; i zamiast korzystać z rozrostu rynku, musimy zmierzyć się z niebezpiecznym faktem, że nasz rynek się kurczy. Pojawienie się zatem licznej i stale rosnącej klasy permanentnie bezrobotnych to rzecz nieunikniona. Rozwój tego zjawiska zacznie się prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych, gdzie warunki funkcjonowania przemysłu szybko dojrzewają do podobnej katastrofy. Do

niedawna jeszcze, Ameryka zajmowała się nie tyle produkcją towarów, co maszyn. Oczywiste jest, że gdy całą tę maszynerię zaangażuje się wreszcie w proces produkcyjny, ilość dóbr przeznaczonych na eksport gwałtownie się zwiększy; i w oparciu o bardzo poważne przesłanki powiedziano już kiedyś, że konkurencja, której doświadczamy ze strony Amerykanów, jest niczym w porównaniu z tym, co czeka nas w następnych kilku latach. Tymczasem, rozrost trustów, kombinatów i monopoli, eliminując nieodłączny od konkurencji element marnotrawstwa, zmierza w tym samym kierunku.

W takich warunkach, roztropnie uczynimy przygotowując się na wszelką ewentualność. Choć na pewno nie uda nam się ocalić obecnego społeczeństwa, być może uda nam się zbudować na jego ruinach coś nowego.

## Rozdział III – Sfera reform politycznych

Przechodząc w naszej rozprawie do części konstruktywnej, musimy w pierwszym rzędzie wyjaśnić sobie ostatecznie, że skoro to system rynkowy, a nie konkurencja, jest prawdziwym złem, niszczącym nasze społeczeństwo; prawdziwe bitwy o reformę toczone będą na polu przemysłu, a nie polityki. Aby zdemontować system rynkowy, koniecznie trzeba przekazać kontrolę nad przemysłem z rąk finansisty w ręce rzemieślnika, i ponieważ zamiana ta zależy w ostatecznym rozrachunku od rzeczy takich jak odzyskanie bardziej skrupulanckiej uczciwości w relacjach handlowych, odrodzenie żywych tradycji rękodzielniczych, i – ogólnie – pojawienie się w społeczeństwie szlachetniejszych wizji życia, oczywiste wydaje się, że natura tych reform nakazuje zlokalizować ich centrum grawitacyjne poza dziedziną polityki.

Jednocześnie, warto pamiętać, że choć rozwiązanie nie jest polityczne, to ma przynajmniej polityczny aspekt, bo w trudnym procesie reformy wytwórczości legislatywa może naprawdę wiele dopomóc. Rozpoznając prawdę, że szlachetniejsza wizja życia to rzecz niezbędna dla ocalenia społecznego, i że upragnione zmiany powinny zmierzać w kierunku prostszych warunków życiowych, legislatywa może walnie ułatwić ich przeprowadzenie mądrze dysponując nadwyżką budżetową, którą społeczeństwo mogłoby uzyskać opodatkowując niewypracowane dochody. W dłuższej perspektywie, to właśnie sposób użytkowania nadwyżek bogactwa zdecyduje o kierunku, w jakim skanalizowana zostanie energia przemysłu; i tak jak głupie wydatki stanowią preludium do depresji i rozkładu, tak mądre tchną w ciało społeczne zdrowie i energię. „Najistotniejszym pytaniem, jakie może zadać sobie tak jednostka, jak naród", pisał Ruskin, „jest nie ile zarabiają, ale w jakim celu wydają zarobione pieniądze".

Co do metod wydatkowania, dzięki którym nadwyżki budżetowa można by użytkować z dobrym skutkiem dla duchowej regeneracji społeczeństwa, podstawowy warunek sukcesu stanowi działanie w duchu hojniejszym i bardziej wielkodusznym, niż ma to zazwyczaj miejsce dzisiaj; słowem, nie powinniśmy spodziewać się dostać za nasze pieniądze zbyt dużo, ponieważ, dopóki duch całego społeczeństwa nie ulegnie w tej kwestii zasadniczej zmianie, powrót prostszych warunków życia jest poza dyskusją. Dopóki to się nie stanie, wyzysk, tandeta, nieuczciwość i szarlataneria będą nam stale towarzyszyć, a producenci nie przestaną opierać się na niewolniczej sile roboczej.

Co więcej, problemy tutaj się nie kończą. Symptomem towarzyszącym trwaniu tego szkodliwego systemu jest to, że ponieważ skupiamy myśl wyłącznie na robieniu interesów, znacznie mniej uwagi poświęca się dziś istotnej niż rynkowej wartości rzeczy, w związku z czym prowokujemy sytuację, w której między tymi dwiema wartościami zieje coraz głębsza przepaść, aż ideał akumulacji bogactw pada pod własnym ciężarem i okazuje się nagle, że kupno rzeczy godnych posiadania z każdym dniem staje się bardziej niemożliwe. Odwrócić ten nienaturalny stan rzeczy i pozwolić, aby gusta nasze kształtowały się przede wszystkim stosownie do istotnej, a nie rynkowej, wartości rzeczy, to drugi warunek udanych wydatków.

Są dwie sfery, w których natychmiastowy wzrost wydatków to sprawa interesu narodowego. Po pierwsze, nie może być żadnej wątpliwości, że powinno się podjąć wielkie wysiłki w kierunku odbudowy w kraju rolnictwa*, bo pomijając wszelkie tymczasowe korzyści finansowe, rolnictwo przejawia istotną wartość dla życia narodowego – w tym, że wzmacnia siłę ekonomiczną kraju u samych jego podstaw. Po drugie, znacząco powinny wzrosnąć narodowe wydatki na sztukę, ze szczególnym uwzględnieniem życzliwszego i hojniejszego patronatu nad skromniejszymi dziedzinami rzemiosła; dotacje dla tego sektora nie tylko pomogłoby złagodzić nieco presję konkurencji, ale także – ze względu na to, iż prawdziwym korzeniem i podstawą wszelkiej sztuki jest nieodmiennie żywe i pełne energii rękodzielnictwo – puściłyby w ruch siły, które naraz zregenerowałyby wytwórczość i przywróciły życiu piękno; wytwórczość i piękno zaś, to dwa najbardziej istotne czynniki odnowy duchowej naszego rodzaju.

W odpowiedzi utyskującym jakoby Ateny były przesadnie ozdobne, a wręcz przypominały dumną i próżną kobietę, strojącą się w klejnoty, Perykles odparł, że „nadmiar bogactwa winno się użytkować na takie dzieła, które – gdy się je ukończy – na wieczny czas będą świadczyć o chwale swego miasta, i których budowa pozwoli rozdzielić wśród ludzi owoce dobrobytu; ponieważ tak wiele rodzajów rzemiosła trzeba wykorzystać przy podobnych przedsięwzięciach, tak wiele różnych narzędzi i materiałów, że każda sztuka wnosi do nich swój wkład, każda ręka znajduje zajęcie, i niemal całe miasto pracuje za wynagrodzenie, naraz samemu bogacąc się i zdobiąc". Tak przedstawiała się w dawnych czasach recepta na problem bezrobocia; rozwiązywano go z uwzględnieniem zarówno materialnych, jak i duchowych potrzeb ludu.

---

* Problem ten został szczegółowo omówiony w wydanym niedawno traktacie Towarzystwa Fabiańskiego, pod tytułem „Odrodzenie rolnictwa", z którym zgadzam się w całej rozciągłości. Fakt pozostaje jednak faktem, że podstawowe zasady przyjęte w tym traktacie nie pozostają w harmonii z sformułowaną wcześniej dogmatyką, w stosunku do której członkowie Towarzystwa powinni, zgodnie ze statutem, zachowywać lojalność.

## Rozdział IV – Ustrój cechowy

Konkluzja, jaką można wydedukować z poprzedniego rozdziału, jest taka, że mądre wydatkowanie nadwyżek bogactwa – jak zresztą wszelkie przejawy mądrości – wymaga duchowej regeneracji człowieka.

Oczywiste jest, że mówiąc o regeneracji duchowej mamy na myśli coś zupełnie innego od niezdrowego i ckliwego sentymentalizmu, który dzisiaj tak często bierze się za duchowość; chodzi nam raczej o odzyskanie dla społeczeństwa owego „poczucia wielkich proporcji rzeczy", jak nazywa to Pater[13], które we wszystkich wielkich epokach rozwoju duchowego stanowiło własność wspólną ogółu, szczególnie że wyposażenie człowieka w nowy system wartości całkowicie – by tak rzec – zmienia jego indywidualną naturę. Warto w związku z tym pamiętać, że choć w jednym sensie natura indywidualna jest niezmienna, fakt pozostaje faktem, że atmosfera intelektualna, którą oddychamy, determinuje w szczegółach sposób jej wyrazu; i że jak atmosfera sekciarstwa i uprzedzeń, nie dostarczając środków wyrazu naturze wyższej, dostarczy ich aż w nadmiarze naturze niższej, tak też szersze spojrzenie na życie, atmosfera, w której jaśniej widzi się naturę i istotną jedność rzeczy, dzięki przemianie świata wartości pomoże człowiekowi skuteczniej powściągać motywacje egoistyczne. Odzyskanie poczucia wielkich proporcji rzeczy przez wszystkich członków społeczeństwa z osobna poprzedzić musi zatem wszelką rzeczywistą reformę. Poczucie to jest jedynym naprawdę znacznym czynnikiem socjalizacyjnym, zawsze szukającym spełnienia w akcji zbiorowej. Bez niego, socjalizm w żadnej formie nie może istnieć.

Nie da się znaleźć lepszego przykładu szkody, jaką powszechny brak tego poczucia wyrządza sprawie reformy społecznej, od nastawienia przejawianego obecnie przez większość socjologów wobec propozycji odbudowy ustroju cechowego. Co do jednego, wszyscy oni odrzucają pomysły Ruskina jako cofanie się do średniowiecza wyłącznie z tego względu, że w jego czasach budowa mostów łączących je ze sferą praktyki politycznej nie była jeszcze możliwa. We wszystkich podobnych reakcjach dostrzegamy jasno charakterystyczną niezdolność współczesnego umysłu do rozróżnienia tego, co bezpośrednio wykonalne i tego, do czego należy póki co wyłącznie dążyć, a także podporządkowania teraźniejszych dążeń potrzebom przyszłości.

13 Walter Pater (1839-94) – angielski eseista, krytyk literatury i sztuki, historyk, znawca renesansu.

Jeśli popatrzy się na sprawę w świetle powyższych zasad, odrodzenie cechów okaże się rzeczą nie tylko rozsądną, ale i nieunikniony. Pełniąc funkcję nie tylko organizacji gospodarczych, ale także społecznych, religijnych i politycznych, cechy czyniły zadość podstawowemu postulatowi jedności życia ludzkiego. I na tej samej zasadzie, na jakiej odzyskanie jedności intelektualnej musi dokonać się wcześniej, niż zorganizowanie społeczeństwa na zasadzie kooperacji, czymś równie pewnym jest, że takie same lub podobne formy organizacji społecznej okażą się w przyszłości nieodzowne.

Na tę chwilę, będziemy rozważać je po prostu jako organizacje polityczne i gospodarcze, bo te dwa ich aspekty najbardziej nas interesują. Kwestia odrodzenia ich jako organizacji społecznych i religijnych wykracza poza zakres tematyczny niniejszego dzieła, odrodzenie to zależy bowiem potężnie od rozstrzygnięcia wielu dylematów teologicznych i naukowych, o których nie czujemy się kompetentni dyskutować. Celem zapewnienia Czytelnikowi choćby bardzo ogólnego pojęcia na temat tego, czym naprawdę był ustrój cechowy, najlepiej chyba zacytować fragment książki profesora Lethabyego „Edukacja techniczna w fachu budowlanym” (bo choć mowa w nim zasadniczo o profesji budowlanej, takie same warunki panowały w każdej innej gałęzi rzemiosła) i uzupełnić go wyborem z zasad cechu tkackiego z Flandrii, przywoływanych przez Williama Morrisa w „Architekturze, wytwórczości i bogactwie”.

„W wiekach średnich”, powiada profesor Lethaby, „cechy budowlane i ciesielskie stanowiły właściwie szkoły czy kolegia swego fachu, każde miasto zaś, by tak rzec, uniwersytet rzemiosła. Korporacje budowniczych, cieśli i tym podobne, zakładano właśnie w miastach; każda gałąź rzemiosła pragnęła mieć własną salę kolegialną. I same uniwersytety pewien słynny historyk określił niedawno mianem ‘gildii uczonych’. Gildia stanowiąca depozyt wszystkich tradycji swego fachu stanowiła gwarancję właściwych relacji między czeladnikiem a majstrem, któremu go powierzono; właściwie jednak, czeladnik terminował u całego cechu, a w ostatecznym rozrachunku u całego miasta, z którego swobód korzystał rozpoczynając studia. Stawał się on istotnie studentem swego kolegium i nosił jego szaty. Na późniejszym etapie, uzyskiwał tytuł ‘brata’ lub bakałarza swej sztuki, albo też przygotowując majstersztyk – swą artystyczną ‘dysertację’ – tytuł mistrzowski. Tylko w takim wypadku pozwalano mu zostać pracodawcą albo wejść w skład ciała kierowniczego swego kolegium. Stały przed nim otworem wszystkie zaszczyty polityczne miasta. Mógł zaangażować się jako majster przy budowie opactwa bądź katedry, albo zamieszkać na dworze w charakterze architekta królewskiego, powszechnie uznawanego w tamtym czasie za wielkiego mistrza rzemiosła. Czy może być coś zdumiewającego w fakcie, że system taki wydał z siebie średniowieczne budownictwo – rzeczywiście zdumiewający owoc ludzkiej pracy?”

Rzućmy teraz okiem na zasady funkcjonowania flandryjskich cechów tkackich. „Żadnemu majstrowi nie wolno zatrudniać w warsztacie więcej niż trzech czeladników; żadnemu – pod żadnym pozorem – nie wolno posiadać więcej niż jednego warsztatu; poziom dziennej zapłaty jest stały, podobnie i dzienny czas pracy; żadnej pracy nie wolno wykonywać w święta; w wypadku pracy akordowej (dozwolonej) zapłata za jard jest stała, ale nikomu nie wolno też wytwarzać więcej niż jard materiału dziennie. Nikomu nie wolno kupować wełny prywatnie, ale wyłącznie na drodze transakcji jawnych, zgłoszonych z odpowiednim wyprzedzeniem. Rodzajów wełny nie wolno mieszać; rzemieślnik używający wełny angielskiej (najlepszej), nie powinien mieć w swym warsztacie żadnej innej. Ani angielskiego, ani zagranicznego płótna nie wolno sprzedawać. Rzemieślników nienależących do wspólnoty nie dopuszcza się do udziału w produkcji, chyba że brakuje rąk. Można zasadnie utrzymywać, że wiele spośród tych reguł, a także wiele innych, opracowano bezpośrednio w trosce o interes pracownika. Teraz przejdźmy do ochrony konsumentów. Rzemieślnik musi udowodnić, że odpowiednio zna się na swoim fachu; najpierw terminuje jako uczeń, potem czeladnik, potem może otrzymać tytuł mistrzowski, pod warunkiem dysponowania dostateczną ilością kapitału na zakup trzech krosien poza swoim własnym, co zresztą zazwyczaj leżało jak najbardziej w jego zasięgu. Szerokość splotu jest ustalona; kolory wybiera się z listy zależnie od jakości; żadnej pracy nie wolno wykonywać w chłodzie czy przy złym świetle. Każdy pas skuna należy ‘spilśniać’ względnie ‘foluszować’[14] przez określony czas i aż do uzyskania określonej szerokości, i tak dalej. W końcu, każdy wytworzony pas sukna musi zostać należycie oceniony; jeśli ocena będzie negatywna, sukno zwraca się wykonawcy, który zostaje ukarany grzywną; jeśli odpowiada przyjętym standardom jakości, zostaje dopuszczony do sprzedaży”[15].

Najważniejszą rzeczą, jaką należy zapamiętać z tego wszystkiego jest fakt, że rzemieślnik rzeczywiście był w tym systemie uprzywilejowany – jak zresztą musi być, jeśli ma pozostać rzetelnym wytwórcą. Przywilej bowiem nie tylko chronił go przed konkurencją ze strony nieuczciwych rywali, ale także zapewniał mu w pracy spokój – konieczny warunek każdej dobrej roboty. Twórcy powyższych regulacji dostrzegli niezwykle istotny fakt socjologiczny, dzisiaj zazwyczaj nie do końca rozumiany, mianowicie: że łajdactwo to ludzie bardzo niebezpieczni, i że nie da się utrzymać nad nimi dostatecznej kontroli w warunkach swobody gospodarczej pozwalającej na nieuczciwą konkurencję. Mówię: *nieuczciwą* konkurencję, ponieważ cechy nie miały na celu ograniczenia konkurencji jako takiej, ale tylko jednej z jej form, którą określamy mianem konkurencji rynkowej. Zapobiegając niskiej konkurencji ceną, wynosiły

14 Definicja SJP PWN: „Powiązać włókna osnowy i wątku tkanin wełnianych w zwartą masę”.

15 Zapis cytatu z Morrisa jak w oryginale.

sprawę na wyższy poziom, w rezultacie czego zaczynała się konkurencja jakością. Ta zaś była, rzecz jasna, doskonale zdrowa i ożywcza, ponieważ zapewniała wytwórczości przetrwanie nie „najsilniejszych", ale „najlepszych", w najszerszym sensie tego słowa, czego ogólna maestria średniowiecznego rzemiosła niezbicie dowodzi.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ustrój cechowy to jedyny system organizacji społeczeństwa, stwarzający warunki do istnienia zdrowej produkcji; lecz czy uda się go ponownie zastosować w sferze dystrybucji, to prawdopodobnie pytanie otwarte. Dystrybucją surowców prawdopodobnie zajmie się w przyszłości państwo, a właściwie jakaś forma kolektywistycznej administracji dysponująca znacjonalizowaną siecią kolejową*. W kwestii nacjonalizacji ziemi trzeba powiedzieć tyle, że będzie to prawdopodobnie ostatnia reforma, jaką uda się nam przeprowadzić. Bo jeśli prawdą jest, że – według słów pana Edwarda Carpentera – skorupa konwencji i sztuczności, jaką obrósł świat współczesny, to efekt towarzyszący koncentracji kapitału i idei, które są z nią związane, czy nie wynika z tego logicznie, że jak długo skorupy tej nie uda się rozkruszyć, nacjonalizacja ziemi musi pozostawać niemożliwością, ponieważ jak długo ludzie przywiązani będą do swoich obecnych nawyków i obecnego sposobu życia, zawsze pośpieszą na pomoc systemowi, którego zniesienie zagrażałoby egzystencji społecznej każdego spośród nich z osobna.

Co do formy, jaką przyjmie rząd przyszłości, nie jest nieprawdopodobne, że podział funkcji między niższą i wyższą izbę parlamentu zostanie utrzymany, z tą wszakże różnicą, że podczas gdy członków nadal będzie wybierać lud, w sensie osoby prywatne, to członkowie izby wyższej będą pochodzić z nominacji cechowej.

Takie urządzenie, jak się zdaje, ocaliłoby dla demokracji to, czego ona sama dzisiaj według wszelkich znaków nie potrafi ocalić – przywództwo najlepszych i najmądrzejszych. Precyzja myślenia niekoniecznie sprawdza się w wyborczym oratorstwie, i tak to dziś wygląda, że społeczeństwo nie może skorzystać z usług znacznej części najgłębiej myślących spośród swych członków tylko dlatego, że nie potrafią oni przebić się ze swoimi poglądami na wiecach politycznych. Stworzenie wyższej izby parlamentu, w której zasiadaliby nominaci cechowi, rozwiązałoby ten problem skreślając oratorstwo z listy kwalifikacji

---

* Prawdopodobnie poręczne okaże się wykorzystanie w społeczeństwie kooperatywnym istniejących już środków dystrybucji dla dostarczenia ludziom artykułów pierwszej potrzeby; nie miałoby to oczywiście zastosowania w takich gałęziach produkcji jak meblarstwo czy budownictwo, dla efektywności których kluczowy jest brak pośrednictwa między klientem a rzemieślnikiem.

niezbędnych do życia politycznego, przekazanie władzy w ręce najmądrzejszych pozwoliłoby zaś powściągnąć anarchiczne tendencje współczesnej demokracji; zasada autorytetu opartego o głos ludu zostałaby zatem utrzymana, a równowaga sił między różnymi czynnikami życia państwowego – automatycznie przywrócona.

Jeśli proroctwo niniejsze okaże się prawdziwe, i jeśli społeczeństwo powróci do ustroju cechowego, będziemy mogli bardziej adekwatnie docenić jego wartość. Znając konsekwencje nieskrępowanej konkurencji między jednostkami, społeczeństwo zdoła skuteczniej ustrzec się przed wzrostem całego tego zła, którego jakże boleśnie przecież doświadczyliśmy. I tak, choć nadzieją napełnia nas perspektywa ocalenia społecznego, warto pamiętać, że nie dokona się ono mocą ustanowienia jakiegokolwiek konkretnego *regime'e,* ponieważ dopóki każdy członek społeczeństwa nie będzie dysponował dostateczną odwagą moralną, by oprzeć się pokusie realizacji prywatnych interesów kosztem zbiorowości, i perspektywą intelektualną konieczną, aby mógł w każdym wypadku trafnie orientować się w kwestii najważniejszych interesów wspólnych, ustanowione historycznie instytucje społeczne nieodmiennie będą się degenerować, bo w takim zakresie, w jakim wszelkie instytucje stanowią ledwie wyraz życia i ducha narodu, godziwość państwa może być ocalona wyłącznie przez godziwość jednostek.

## Rozdział V – Jak odbudować cechy

Przechodząc teraz do rozważenia problemu sposobów i środków odrodzenia ustroju cechowego, pierwszym faktem, z którego musimy zdać sobie sprawę, jest iż cechów nie da się odbudować na drodze dalszej ewolucji w kierunku, w którym społeczeństwo obecnie zmierza, ale właśnie w oparciu o siły gruntownie przeciwstawne temu, co uważać można za normalny kierunek ewolucji społecznej.

Z tych, pierwszą, która odegra przy odrodzeniu cechów rolę kluczową, będą związki zawodowe. Już teraz pełnią one – ze swoją złożoną strukturą organizacyjną – wiele funkcji, dawniej pełnionych przez cechy; takie, na przykład, jak regulacja pensji i czasu pracy, wespół ze znacznie istotniejszym społecznie obowiązkiem zapewniania szybkiej pomocy chorym i doświadczonym przez los. Jak cechy, związki zaczęły jako organizacje bardzo małe, by przejąć ostatecznie całą kontrolę nad danymi zawodami. I również jak cechy, nie są to byty polityczne, ale stowarzyszenia dobrowolne, zakładane spontanicznie celem obrony słabszych przed uciskiem silnych. Od cechów różnią się one, jako organizacje gospodarcze, tylko pod trzema względami. Po pierwsze, nie biorą żadnej odpowiedzialności za jakość produkowanych towarów. Po drugie, nie mogą do nich należeć mistrzowie; i po trzecie, nie dysponują one w danym fachu monopolem.

Oczywiście, to różnice bardzo istotne – różnice, prawdę powiedziawszy, które na chwilę obecną są nie do przezwyciężenia. Sama okoliczność tak skrajnego zdominowania współczesnego przemysłu przez finansistów i spekulantów wystarczy, aby zapobiec szybkiemu przekształceniu związków zawodowych w cechy, bo póki zachodzi trudno wyobrazić sobie, jak ludzie i ich panowie mogliby funkcjonować w ramach jednej organizacji. Pytanie, na które musimy sobie zatem odpowiedzieć, jest takie: czy kontrolę nad przemysłem nadal sprawować będą finansiści, czy też istnieją podstawy by sądzić, że miejsce ich zajmą w przyszłości mistrzowie rzemiosła.

Na pytanie to odpowiadam, że mamy bardzo dobre podstawy, by sądzić, że rzemieślnik zastąpi jednak kiedyś finansistę. Spekulacja jest swą własną ruiną. Od pewnego czasu rujnuje już robotnika, i jeśli odniesie na tym polu znaczniejsze sukcesy, zniszczy w społeczeństwie skuteczność popytu, a więc – ostatecznie – swoje własne źródła dochodów. Przewidywania niniejsze opierają się na założeniu, że choć społeczeństwo pogodzi się bezgłośnie z działaniami spekulacyjnymi, to jednak efektem tego – jako się rzekło – będzie rewolucja, która ową ruinę drastycznie przyśpieszy. Tymczasem, działają w społeczeństwie

współczesnym dwa czynniki, które zdecydowanie sprzyjają zastąpieniu fabryki małym warsztatem. Pierwszym z nich jest rosnące wykorzystanie elektryczności jako taniego środka dystrybucji energii, drugim – stopniowy wzrost standardów smaku i rzemiosła.

Co do tego, łatwo dostrzec, że tak jak wprowadzenie energii parowej, koncentrując wytwórczość, spowodowało powstanie wielkich fabryk, tak elektryczność, usprawniając dystrybucję energii, umożliwi w przyszłości powstanie małych warsztatów. Prawda, że rozwój systemu fabrycznego poprzedził wykorzystanie w produkcji maszyn i energii parowej. On sam wszakże, poprzedzony został przez ogólny spadek poziomu rzemiosła, który – uniformizując różnorodną dotąd wytwórczość – w ogóle tę zmianę umożliwił. W związku z czym można zupełnie rozumnie założyć, że wraz z powtórnym wzrostem biegłości rzemieślniczej, system fabryczny będzie zanikał. Wysoki poziom rzemiosła wymaga dbałości o jakość produkowanych dóbr; wymaga spokojnego rytmu pracy; wymaga zagwarantowania rzemieślnikowi sprawiedliwej płacy i bezpieczeństwa zatrudnienia. System rynkowy i fabryczny odmawiają mu wszystkich tych rzeczy – i tak też być musi, bo te dwie sprawy z istoty swojej pozostają w konflikcie. Zwycięstwo jednej z nich musi oznaczać śmierć drugiej[*].

W tym momencie dochodzimy do rozważenia drugiej siły przygotowującej grunt pod odrodzenie cechów, mianowicie: do ruchu Sztuki i Rzemiosła, istniejącego dokładnie w celu promocji powrotu do rękodzieła. Zdając sobie sprawę, że sztuki rękodzielnicze stanowią prawdziwy korzeń i podstawę wszystkich sztuk, i że w obecnych warunkach artysta i rzemieślnik zostali – na swoją obopólną niekorzyść – zupełnie rozdzieleni, ruch Sztuki i Rzemiosła pragnął zaradzić temu problemowi na drodze promocji ich ponownego zjednoczenia.

Pisząc o „Odrodzeniu rękodzieła i kompozycji”[**], pan Walter Crane[16] stwierdza: „Nasz ruch istotnie stanowi, w pewnym sensie, wyraz sprzeciwu wobec życia mechanicznego, wobec jego twardości i niewrażliwości na piękno (rzecz zupełnie różną od ozdobności). Gest protestu wobec tak zwanego ‘postępu przemysłowego’, wydającego z siebie tandetne dobra, za których niską cenę płaci się życiem ich

---

* Można by tutaj podnieść zasadną obiekcję, że wzrost standardów smaku nie będzie miał wpływu w dziedzinie usług inżynieryjnych. Odpowiedź brzmi, że rynek usług inżynieryjnych w przyszłości gwałtownie się skurczy. Rozrost rynku inżynieryjnego wiąże się z rozrostem sztucznych warunków życia, a że życie przyszłości będzie toczyć się w warunkach prostszych, rynek inżynieryjny proporcjonalnie zmaleje.

** „Sztuka i rzemiosło. Zbiór esejów autorstwa członków Stowarzyszenia na rzecz Sztuki i Rzemiosła”.

16 Walter Crane (1845-1915) – angielski malarz, grafik, ilustrator, prerafaelita.

wykonawców i degeneracją użytkowników. Protestu wobec zamieniania ludzi w maszyny, wobec sztucznych podziałów w sztuce, i czynienia doraźnej wartości rynkowej, czy – jeśli to możliwe – zysków, podstawowym standardem jakości artystycznej. Broni również przysługującego wszystkim i każdemu z osobna prawa do udziału w pięknie, które jest własnością wspólną, i które powinno w związku z tym być dostępne ludziom również w rzeczach zwykłych i powszechnie znanych, a także pragnie na powrót obudzić w ludziach poczucie owego piękna, stępione i stłamszone, jak to zbyt często się dzisiaj zdarza, albo – z jednej strony – przez niepotrzebne luksusy, albo – z drugiej – przez brak podstawowych środków do życia i wycieńczający niepokój o przyszłość; nie wspominając nawet o codziennej brzydocie, do której nasze oczy zdążyły się już przyzwyczaić, zmącone zalewem fałszywych przejawów smaku bądź zaćmione pośpiechem życia współczesnych miast, w których wielkie gromady ludzkie pędzą żywot w kompletnej izolacji tak od sztuki, jak od natury, pozbawione zupełnie ich zbawiennego wpływu.

Ruch nasz uznaje również wartość praktyk rękodzielniczych jako drogi rozwoju przyrodzonych talentów człowieka i jako najbardziej wartościowej alternatywy dla przemęczających skutków aktywności czysto mentalnej, dokonującej się jeszcze w obecnych warunkach brutalnej rywalizacji; nie wspominając nawet o kwestii prawdziwej przyjemności, jaką czerpie się z tworzenia przedmiotów artystycznie udanych i pięknych, zmagania się z oporem materii i tryumfowania nad nim, której istnieniu nawet dziś nikt nie mógłby zaprzeczyć. I, na koniec, odzyskując w ten sposób dla człowieka ów pierwotny i wspólny wszystkim zachwyt nad pięknem zwyczajnych zupełnie rzeczy, odzyskuje dla nich – za pośrednictwem sztuki – wielki czynnik społeczny, sprzyjający budowie życia prawdziwie wspólnego i braterskiego, prawdziwie serdecznych i zdrowych więzi międzyludzkich, domagając się jednocześnie takiej zmiany warunków politycznych, aby nasi artyści i rzemieślnicy mogli stać się wreszcie prawdziwie wolni.

'Oto jak mały ogień, jakże wielki las podpala'. Niektórzy mogą sądzić, że to wielki projekt – odległy ideał, uchwytny tylko dla ruchu czysto estetycznego. A jednak, jeśli odrodzenie sztuki i rękodzieła nie jest ledwie teatralnym impulsem i imitacją; jeśli nie dokonuje się wyłącznie celem zaspokojenia chwilowego trendu mody czy zapotrzebowania handlowego; jeśli ma swoją własną rzeczywistość i własne korzenie; jeśli to nie ledwie słaby poblask koloru na końcu bardzo ponurego dnia – nie może być niczym innym, niż tym, co opisałem. Musi zwiastować albo zmierzch – albo jutrzenkę".

Nie musimy, rzecz jasna, sądzić tego zawołania bojowego po pozorach. Formułować zasadę to jedno, wcielić ją w czyn – to drugie. I jeśli spojrzeć na stan ruchu Sztuki i Rzemiosła dzisiaj, wydaje się on przypominać raczej zmierzch niż jutrzenkę. Nie można zaprzeczyć, że choć ruchowi udało się

spopularyzować swe idee, z przekuciem ich w czyn w większej mierze było bardzo mizernie. Nieliczne grono uprzywilejowanych, mając do dyspozycji odpowiednie środki bądź pozycję społeczną, zdołało utrwalić swoją obecność na scenie społecznej, większość wszakże, po kilku latach znoju, straciło serce, w związku z czym cały ruch wpadł w zastój.

A jednak, po zmierzchu zawsze wstaje świt, i choć musimy szczerze przyznać, że ruch boryka się z problemami, nie usprawiedliwia to jeszcze konkluzji, jakoby jego porażka była nieunikniona:

> Zamiar w chwilach jasności rozumu powzięty
> wykona człowiek zawsze, choćby smutkiem zdjęty.

mówi Arnold[17]. Ruch buduje sobie obecnie warownię trudniejszą do zdobycia, bo widać już – przynajmniej z wewnątrz – że jego centrum grawitacyjne przemieszcza się pomalutku z kółek artystów i *dilletante'ów* do środowiska rzeczywistych fachowców. Dotąd, ruch miał trzy słabe punkty. Pierwszy: izolacja od kontekstu rzeczywistej pracy; drugi: ogólny brak patronatu intelektualnego – większość jego patronów kierowało się niewolniczo względami mody; trzeci: brak wystarczającej świadomości własnego znaczenia socjologicznego, który nie pozwalał mu kanalizować swych energii w sposób najbardziej efektywny.

Nad przepaścią, dzielącą dotąd członków ruchu i autentycznych ludzi pracy, zaczyna się obecnie – twierdzenie to ryzykowne, ale uzasadnione – budować mosty. Z wielu kierunków dobiegają sygnały wskazujące na to, że rzemiosło na powrót się ożywia; fala uczucia, która wydała z siebie ruch Sztuki i Rzemiosła dosięgła nareszcie także i robotników, i są naprawdę dobre powody, by sądzić, że pierwszy warunek szerokiego sukcesu – mianowicie: współpraca i dobra wola ze strony samych rzemieślników – niedługo już zostanie spełniony[*].

Mecenat sprawowany nad rzemiosłem przed modne kółka, o ile się jeszcze zupełnie nie wypalił, to na pewno zdecydowanie traci rozmach i choć nawet pomimo ogólnego braku patronatu intelektualnego ruch Sztuki i Rzemiosła ma wszelkie powody czuć w stosunku do mody wdzięczność za podtrzymanie jego płomienia w chwilach trudności, nie mamy wątpliwości, że brak tego mecenatu nie okaże się niczym

---

17 Aluzja do wiersza „Morality".

* W tym kontekście szczególnie ważna wzmianka należy się wspaniałej pracy na rzecz tchnięcia w robotników nowej energii, jaką wykonuje Szkoła Techniczna L.C.C., odkąd funkcję konsultanta artystycznego zaczął pełnić w jej radzie profesor Lethaby.

niekorzystnym, ponieważ odkąd ruch przyzwyczaił się do szukania oparcia w modzie, rzeczy, które wytwarza, z konieczności muszą być natury egzotycznej, podczas gdy naprawdę wartościowe zadanie, jakie reprezentuje, to znaczy: przywrócenie piękna życiu codziennemu, pozostaje zaniedbane.

Największą słabością ze wszystkich jest jednak to, że ruch nigdy tak naprawdę nie rozumiał własnej roli społecznej – defekt, któremu niniejsza książka ma za cel zaradzić. Jestem przekonany, że w dłuższej perspektywie ruchowi nigdy nie uda się poczynić znaczniejszych postępów, jeżeli nie wyposaży się w teorię społeczną, współgrającą z jego filozofią sztuki – ponieważ bez tego nie znajdzie wspólnego języka z ogółem; nie zdoła pozyskać sobie odpowiedniego typu poparcia, bez niego zaś, jego wartość jako siły rekonstrukcji społecznej znacząco ucierpi.

Uważam, że mam słuszność klasyfikując ruch Sztuki i Rzemiosła jako jedną z sił rekonstrukcji społecznej, i to nie tylko dlatego, że sztuka to wieczysty przeciwnik systemu rynkowego, ale ze względu na szczególną relację, w jakiej pozostaje ona do obecnego społeczeństwa. To pierwszy moment w dziejach, w którym sztuka wyprzedza własną epokę. Dotąd, nowe ruchy artystyczne pojawiały się dopiero po nowych ruchach społecznych, dzięki którym ogół odbiorców był zdolny je zrozumieć. Tak też humaniści włoscy przygotowali grunt pod odrodzenie architektury klasycznej w dobie renesansu, i podobnie ruch anglokatolicki przygotował grono przyszłych odbiorców dla neogotyku i prerafaelitów. Jedyne, co mogę zrobić, to uznać istotną wagę tego faktu i przyjąć, że sztuka stanowi jedną z wielkich sił rekonstrukcji społecznej, która zawróci kiedyś falę kapitalizmu. W każdym wypadku, sztuka nie potrafi już podążać za trendami epoki, i prędzej czy później zmuszona będzie wybrać pomiędzy marginesem społecznym, na który zepchnie ją stale rosnąca presja warunków życia w systemie rynkowym, a ostatecznym poświęceniem się pracy na rzecz rekonstrukcji społecznej.

Oczywistym sposobem osiągnięcia tego celu jest działać ręka w rękę z innymi ruchami reformatorskimi. Zamiast dążyć do tego, by się nawzajem zrozumieć, reformiści próbowali rozwiązywać osobne, „własne” problemy, bez brania pod uwagę czegokolwiek, co inni robiliby dla rozwiązania podobnych trudności, skutkiem czego jeden w jednego wszyscy zgubili drogę w gęstwinie doraźnych względów i kompromisów praktyki politycznej. Dlatego też najbardziej pilną potrzebą wydaje się teraz promocja jedności intelektualnej przez powrót do źródeł, którego skutkiem byłoby nie tylko zjednoczenie poszczególnych ruchów reformistycznych ze sobą nawzajem, ale także i z ogółem społeczeństwa.

Jest wiele znaków świadczących, że myśl współczesna istotnie zmierza w tym kierunku. Jednym ze skutków porażki wszystkich ruchów reformistycznych w realizacji bezpośrednich założeń okazał się wzrost pewnego ogólnego konsensusu opinii, że każda rzeczywista reforma wymaga niezbędnie regeneracji mas ludowych. W tej sprawie jasne jest, że socjologowie, naukowcy, artyści, filozofowie, politycy i reformatorzy dochodzą powoli do jakiejś formy porozumienia. Co więcej, coraz liczniejsze grono myślicieli zaczyna zdawać sobie sprawę, że hazard, pijaństwo i wiele innych problemów społecznych ma swoje źródło w warunkach współczesnego systemu przemysłowego; że tak długo, jak długo większość zmuszona będzie zajmować się rzeczami, nieangażującymi w żaden sposób wyobraźni oraz indywidualności pracownika, szlachetniejsze wizje życia, czy – innymi słowy – odnowa duchowa, będą zduszane w zarodku; i że kultywacja estetycznej strony egzystencji to paląca potrzeba dnia dzisiejszego.

Tymczasem, myśl abstrakcyjna wykazuje takie same tendencje. Co zwyczajowo nazywano materializmem filozoficznym, ostatnimi laty zostało w znacznej mierze zepchnięte w cień, jego miejsce zaczyna zajmować zaś odradzająca się wiara w nieśmiertelność duszy, coraz popularniejsza doktryna reinkarnacji i karmy, i ogólna tendencja do uznawania sensowności myślenia mistycznego. Konieczność pewnego przynajmniej odrodzenia religijnego staje się coraz powszechniej uznawanym faktem. W konsekwencji, przestrzeni publicznej nie dominują już dzisiaj manifestacje bojowego agnostycyzmu, co raczej próby odnalezienia w religii pierwiastków naprawdę istotnych.

Odkrycia dokonywane przez naukę współczesną w pełni współgrają z tym ogólnym trendem. Wystarczy tylko wspomnieć, na przykład, o eksperymentach Sir Williama Crookes'a[18] ze światłem promienistym, promieniach Roentgena, promieniach N, eksperymentach Dewara[19] ze skroplonym powietrzem, fale Hertza, odkryciu radu, a także badaniach prowadzonych przez pana Butlera Burke'a[20] w sprawie pochodzenia życia, by wykazać, że porzucenie tezy o czysto fizycznym charakterze naszych początków (tak bardzo sprzecznej z ideami spirytualizmu) to wcale nie taka odległa perspektywa. Na

18 Sir William Crookes (1832-1919) – angielski fizyk i chemik, odkrywca tzw. „rury Crookesa", swego rodzaju prototypu lampy rentgenowskiej, a także kilku innych rzeczy. Pasjonat spirytyzmu.

19 Sir James Dewar (1842-1923) – szkocki fizyk i chemik, odkrywca m.in. wzoru chemicznego benzenu Dewara oraz sposobu przemysłowej produkcji ciekłego tlenu.

20 Jan Butler Burke (1873-19??) – irlandzki naukowiec, fizyk, pracownika Laboratorium Cavendish w Cambridge. Słynny z eksperymentu polegającego na umieszczeniu pewnej ilości radu w bulionie wołowym. Po pewnym czasie miało to doprowadzić do powstania osobliwych struktur, bardzo przypominających organizmy żywe, jednak nie w pełni żywych oraz rozkładających się pod wpływem światła słonecznego i wody. Eksperyment ten wywołał w swoim czasie wielkie kontrowersje i do dziś jego właściwe znaczenie pozostaje nieokreślone.

rozum laicki, przynajmniej, naukowy postulat istnienia świadomości uniwersalnej, przenikającej wszelką materię, formułowany celem wyjaśnienia sprzeczności między odkryciami fizyka i chemika, astronoma i geologa, jako taki implikuje jej porzucenie. Tendencja ta jest bardzo obiecująca – niemniej, dla projektu zjednoczeniowego jeszcze bardziej obiecująco przedstawia się fakt, że powrót do sprawiedliwych i opartych na solidnej podbudowie filozoficznej standardów smaku w sztuce jest – zdaje się – na wyciągnięcie ręki. Po stuleciu eksperymentów i porażek, sztuka znajduje w końcu wyjście z obłoku ciemności, w którym uwięził ją wiek dziewiętnasty. Tym, którzy nie zajmują się sprawą zawodowo, trudno dostrzec ogromne wysiłki, jakie poczyniono przez ostatnie piętnaście lat w dziedzinie architektury i rzemiosła, co wynika – rzecz jasna – z tego, że dobrej sztuki przebija się ostatecznie na ulice wielkich miast ledwie bardzo niewiele. Niemniej, postępy naprawdę są imponujące. Wynika to z faktu, że skutek uboczny naszych eksperymentów artystycznych stanowi coraz powszechniejsze zrozumienie prawdziwych prawideł tworzenia. Współczesny architekt zaczyna zdawać sobie sprawę, że architektura to nie system abstrakcyjnych proporcji, które należy stosować bez rozróżnień do wszystkich rodzajów budynków i materiałów, ale że – co się już powiedziało – prawdziwym korzeniem i podstawą wszelkiej sztuki jest rękodzieło; że, istotnie, nie da się projektować bez uwzględnienia specyfiki materiału, bo w ostatecznym rozrachunku kompozycja stanowi nieodzowny element dobrej jakości dzieła. Odkrycie tego prawidła, zapowiadane przez słynny rozdział „Natura Gotyku" z „Kamieni Wenecji" Ruskina, w niesamowicie szybkim tempie syci sztukę współczesną nową energią. W reakcji na krystalizację tradycji rękodzielniczych, architektura przeżywa własną odnowę. I nie bez racji można sądzić, że ta nowa jakość stopniowo przebije się także do bardziej wyzwolonych sztuk malarstwa i rzeźby. Malarstwo i rzeźba nie mogą być zdrowe, jeśli nie podporządkuje się ich architekturze, a jako że mecenat to rzecz dzisiaj coraz rzadsza, wydaje się, że okazje do owocnej współpracy będą się w przyszłości mnożyć.

Możemy bezpiecznie założyć, że nowe idee, kiełkujące teraz w sferze sztuki, stopniowo przedostaną się także do innych dziedzin życia. Być może, że estetyzm konesera to bardzo często sprawa czysto powierzchowna. Niemniej, jest to również kamień milowy na drodze do większych dokonań; bo nikt nie może przez dłuższy czas zajmować się estetyką nie docierając w końcu do rzeczywistości, którą symbolizuje. Neogotykowi i ruchowi prerafaelickiemu z początku bardzo zasadnie można było zarzucać powierzchowność. A jednak, dzięki nim w tysiącach obszarów badawczych odkryto nowe prawdy; istotnie, trudno wymienić jedno takie odkrycie, w których ich wpływ nie grałby przynajmniej pewnej roli. Im to właśnie, w ostatecznym rozrachunku, zawdzięczamy odzyskanie złożonej struktury kompozycji – pośrednio zaś, pozwoliły nam one zobaczyć przeszłość w całkowicie nieznanym wcześniej świetle. Przy okazji można również zauważyć, że siły puszczone w ruch przez te dwie rzeczywistości nie tylko

wyposażyły nas w klucz do rozwiązania problemów poruszanych w niniejszej książce, ale także w fakty niezbędne do tego, aby problemy te właściwie sformułować. I przecież to estetyzmowi literackiemu zawdzięczamy odrodzenie zainteresowania folklorem, symbolizmem i życiem wsi.

Tak też zatem, krok po kroku, przygotujemy kiedyś grunt, na którym wyrosnąć będą mogły nowe ideały duchowe. Duchowość zawsze kojarzono dotychczas z pięknem. I tak, jak nie da się wyrazić prawdy o duchu inaczej, niż za pośrednictwem rzeczywiście pięknej formy, tak też piękna formy nie da się nigdy do końca oddzielić od prawdy ducha. Pragnienie piękna będzie się w naszym społeczeństwie stopniowo budzić – i tchnie w życie duchowe nową rzeczywistość. Nie mówię, rzecz jasna, że sam kult piękna wystarczy do stworzenia religii, ale tylko tyle, że poszukiwanie piękna we wszystkich strukturach życia (bo nim piękno odzyska swoją właściwą funkcję, podporządkowaną sprawom wyższym, społeczeństwo musi przejść przez okres samoświadomego estetyzmu) daje nam większe szanse na zbliżenie się do spraw istotnie duchowych, niż gorączkowa pogoń za bogactwem i brzydotą.

Tak wydają się przedstawiać zasadnicze zręby nowej jedności intelektualnej, której słusznie możemy się spodziewać; jeśli w ogóle możemy ją nazwać intelektualną – bo jedność, której oczekujemy, opierać się będzie na rozpoznaniu faktu, że źródło wszelkiej myśli tkwi w uczuciach raczej, niż w intelekcie, że myśl to nic innego, niż uczucia uświadomione; jak wyraził to pewien pisarz współczesny w niezwykle udanej frazie: „Rozum potrafi skorygować błąd; ale nie da nam nowego światła".

Tymczasem, zewnętrzne warunki funkcjonowania społeczeństw współczesnych sprzyjają wydatnie wydźwignięciu mas z dotychczasowych schematów życia i działania. Szybki rozwój mechaniczny nie zmniejszył, ale zwiększył ciężary na barkach świata; robienie pieniędzy nie wygenerowało, wbrew przewidywaniom ekonomistów politycznych, bogactwa ogółu, ale przeciwnie: wpędziło masy w najstraszniejszą nędzę, jaką ludzkość kiedykolwiek widziała, wolny handel zaś, i rynki światowe, nie tylko że nie dały początku erze powszechnej zgody między narodami, ale wplątały społeczeństwa w niekończące się wojny. Tak też większość ludzi, czując, że naturalną tendencją cywilizacji współczesnej jest pomnażać raczej rozpacz niż radość świata, zaczyna zadawać sobie pytanie, które Ruskin i Carlyle zadali już sto lat temu – dokądże zmierza ta cywilizacja? W związku w tym wszystkim, założenie, że siła, która pozwoli nam kiedyś odrodzić ustrój cechowy, już teraz gdzieś między nami kiełkuje, wydaje się zupełnie rozsądne. Klęska dziejowa społeczeństwa współczesnego pchnie ludzi do poszukiwania zgubionych dróg. Znów zaczniemy kojarzyć Złoty Wiek z przeszłością raczej, niż z przyszłością. I dokładnie taka zmiana potrzebna jest dzisiaj, aby zjednoczyć lud z intelektem epoki. Bo przesądem ludowym dzisiejszego czasu jest

uwielbianie teraźniejszości kosztem epok przeszłych – przesądem, który trafniej być może niż cokolwiek innego pozwala odróżnić ignorantów od ludzi kulturalnych, którzy – lepiej poinformowani – z jednej strony niezdolni są do uczestnictwa w obecnych formach inicjatywy zbiorowej, z drugiej zaś – do zdobycia choćby wąskiego grona zwolenników.

Szacunek dla przeszłości to zatem nadzieja przyszłości. Takie jest świadectwo dziejów. Wystarczy rozważyć, czym okazała się dla Włochów renesansu świadomość ich przeszłej chwały. To właśnie nadzieja na odrodzenie starożytnej świetności senatu i republiki wydała z siebie energie odpowiedzialne za wielkie osiągnięcia tamtej epoki. I choć ambicje te pozostały niespełnione, ideał, począł się z nich w umyśle narodu, pozostał na zawsze wielką siłą rekonstrukcji. Podobnie, szacunek żywiony przez Anglików do średniowiecznych osiągnięć w dziedzinie architektury i rzemiosła, a także do literatury elżbietańskiej, mógłby stać się czynnikiem jednoczącym wielość inicjatyw naszego narodu. Duch pewnego współzawodnictwa, obudzony w społeczeństwie przez tego rodzaju formę szacunku, puściłby w ruch różnorakie, nowe energie, źródła tych rzeczy, których nam brakuje, i wyprowadził nas z dusznych oparów materializmu na świeższe powietrze szczęśliwszego i piękniejszego życia.

Dowodów, że zmiana społeczna dokona się właśnie w tym kierunku, który tutaj opisujemy, nie brakuje. Ledwie sto lat temu Sir Walter Scott czuł się zobowiązany przepraszać czytelników za swą miłość do architektury gotyku. Porównajmy Anglię, jaką znamy dziś, z Anglią roku 1851, zuchwale dufną we własną samowystarczalność. Jeśli zaś chcielibyśmy przyjrzeć się jakimś dowodom z zewnątrz, popatrzmy na znany powszechnie przykład rozwoju rynku antyków meblarskich i bibelotów – a przecież wielu z tych, którzy stali się jego przyczyną, wciąż jest wśród nas. Istotnie, zmiana nastroju uczuciowego, dokonująca się – według wszelkich znaków – w duszy narodu wydaje się po prostu tą samą zmianą, która siedemdziesiąt pięć lat temu dokonała się w architekturze, bo tak jak architekci wieku osiemnastego mniemali o sobie, że osiągnęli stopień doskonałości porównywalny wyłącznie do doskonałości antyku, tak architekci połowy wieku dziewiętnastego sądzili, że przynajmniej są bardzo bliscy jej osiągnięcia. Późniejsze doświadczenia niezbicie wykazały jednak iluzoryczny charakter podobnych przeświadczeń – i to, że w obu wypadkach mieliśmy do czynienia ledwie z fałszywym postępem, przygotowującym grunt pod szybką degenerację, ponieważ w obu chodziło o rzeczy w istocie swej sztuczne, a zatem pozbawione kontaktu z rzeczywistością. I jak sztuka musiała uciec się do badań nad średniowieczem, aby to w tej epoce szukać nowych inspiracji, tak też społeczeństwo może odnaleźć w szacunku do przeszłości nową energię życiową. Dziś żyjemy życiem przeszłości tylko w naszych myślach – jutro jednak, możemy żyć nim naprawdę.

Można zatem mieć nadzieję, że co raz istniało, może zaistnieć raz jeszcze – i to istnieniem pełniejszym i doskonalszym, w nowych warunkach, stwarzających nowe możliwości.

## Rozdział VI – Zakończenie

Skoro wskazaliśmy już kierunek, z jakiego przyjść może ocalenie naszego społeczeństwa, pozostaje nam bardziej precyzyjnie określić najbliższe zadania, które przed nami stoją; bo choć udowodniliśmy, że rozwiązanie trapiących problemów zależy w ostatecznym rozrachunku od odnowy duchowej społeczeństwa, można obawiać się, że podobna generalizacja to za mało, by zmotywować do działania, zwłaszcza że działanie wypływa raczej z rzeczy konkretnych i zmysłowych, niż abstrakcyjnych i intelektualnych. Aby ująć problem bardziej szczegółowo, zatem, wydaje nam się, że duchową regenerację społeczeństwa można przyśpieszyć, jeśli ruch reformistyczny skupi swoją energię na:

1. Stymulacji właściwej refleksji nad kwestią społeczną.
2. Odrodzeniu ducha szacunku wobec przeszłości.
3. Upowszechnianiu prawideł dobrego smaku.
4. Formacji moralnej, szczególnie w kwestii handlu.
5. Uświadamianiu, że osobiste poświęcenie stanowi konieczny warunek ocalenia – zarówno jednostki, jak i państwa.

Co do tych punktów. Pierwszy z nich zawsze był nieodłącznym elementem programu reform, więc nie ma konieczności go rozwijać. W drugim, nie chodzi bynajmniej o dogmatyczny bądź czysto uczuciowy powrót do strupieszałych wzorców, ale o to, że szacunek do wszystkiego, co było w przeszłości naprawdę dobre i wartościowe, nie tylko że musi stanowić podstawę wszelkiej racjonalnej kultury, a zatem i jasności myśli w dziedzinie socjologii oraz innych kwestiach, ale przede wszystkim dlatego, że stanowiłby on również najlepsze możliwe antidotum na ikonoklazm współczesnej epoki, z jego charakterystyczną tendencją do przeceniania własnej wagi, co nareszcie pozwoliłoby umysłowi współczesnemu rozumnie ocenić, w jakim stopniu dokonał się w ostatnich czasach postęp, a w jakim regres. Słowem, to jedyny możliwy środek przywrócenia duszy narodu wyczucia proporcji rzeczy.

Upowszechnianie prawideł dobrego smaku to nie tylko rzecz konieczna do tego, aby nauczyć ludzi żyć rozumnie, ponieważ smak to najlepsza możliwa ochrona jednostki przed miłością ostentacji i wulgarnego popisu, ale także konieczny warunek obalenia systemu rynkowego. Należy obawiać się, że dopóki nie uda nam się zreformować gustów ogółu, będziemy musieli pogodzić się z dominacją systemu

rynkowego, bo system rynkowy ma swoje źródło, z jednej strony, w wulgarności życia współczesnego, z drugiej: właśnie w ogólnej degeneracji smaku. Palącą potrzebą chwili nie jest budowa jeszcze większej liczby szkół artystycznych, produkujących nieograniczone ilości artystów-amatorów z wyolbrzymionym poczuciem talentu, ale szkół smaku, które pokazałyby im, jak niewiele w istocie wiedzą.

I znów, formacja moralna jest konieczna szczególnie po to, aby pokazać ludziom niemoralny charakter konwencjonalnej moralności*. Teza ta jest szczególnie prawdziwa w wypadku etyki biznesu, gdzie teoria i praktyka rozdzieliły się tak drastycznie, że istnieje poważne ryzyko społecznego zaniku poczucia uczciwości.

W końcu, uświadamianie ogółu, że osobiste poświęcenie to konieczny warunek ocalenia tak jednostki, jak państwa, to konieczność szczególnie paląca – bo reformiści przestali o niej mówić. A jednak, poświęcenie pozostaje przecież, jak zawsze, naczelnym prawem życia. Dla osiągnięcia dóbr wyższych, należy poświęcać dobra niższe. Stąd dokładnie tak jak wyższe przyjemności osobistego zbawienia osiągnąć można wyłącznie na drodze poświęcenia przyjemności niższych, tak też dobrobyt państwowy wymaga od jednostek poświęcenia prywatnych korzyści dla dobra wspólnego – tego, by istotnie żyły one według ducha słynnych posłów spartańskich, którzy – zapytani czy przychodzą z poruczenia państwowego, czy z własnych chęci – odparli: „Sukces nasz dla państwa, porażka zaś – dla nas". Jakiż to kontrast z duchem naszego czasu – duchem, który działa w tak wielu ludziach o umyśle pobożnym i postępowym, i który nakazuje im kiedy to tylko możliwe przerzucać odpowiedzialność osobistą na barki państwa. To nie dzięki nim, ale dzięki tym wszystkim, którzy potrafią uznać własne obowiązki i podjąć konieczne wyrzeczenia, reforma stanie się faktem. Oparcie się pokusom systemu rynkowego oznacza w dzisiejszych czasach oparcie się podszeptom diabelskim, w najprostszym i najbardziej oczywistym sensie tego słowa, ponieważ dopóki człowiekowi nie uda się tego dokonać w sposób ostateczny, nie będzie zdolny do żadnej realnie wartościowej pracy ze względu na brak jasności umysłu. Można czytać i rozmyślać ile dusza zapragnie, ale bez odwagi niezbędnej do poddania idei próbie czynu, nie nabędzie się żadnej istotnej wiedzy. Myśl będzie pozbawiona ścisłości. Jedynie żyjąc jakąś ideą można ją przystosować do otaczających nas warunków życia. Jak powiedziano już dawno: „Jeśli oko twoje będzie zdrowe, całe twoje ciało będzie w świetle".

---

* Czytelnik uczni najlepiej, jeśli zapozna się z esejem „Obrona kryminalistów" w książce „Cywilizacja. Jej ustanowienie i uzdrowienie" pana Edwarda Carpentera.

Tak przedstawia się, w zarysie ogólnym, zmiana konieczna dla duchowej regeneracji społeczeństwa. Bez niej społeczne siły konstruktywne nie zdołają niczego zdziałać. Jak powiedział Carlyle: „Jeśli naród ma wiele mądrości, zachowa ją wiernie; bo mądrzy kochają mądrość i będą jej szukać, swego życia i zbawienia. Jeśli jednak ma jej tylko niewiele, nawet tego nie uda się mu zachować, lecz podepczą ją nogi pospólstwa i zostanie zniszczona niemalże do szczętu". Z tego samego powodu, dopóki nie uda nam się zasiać w narodzie angielskim ziaren prawdziwej mądrości, ruch związków zawodowych, który uważamy za centrum nowego porządku, wciąż będzie atakowany ze zbyt wielu kierunków, aby mógł zacząć działać dla ocalenia społecznego, odrodzenie sztuki i rękodzieła zaś, od którego zależy – przynajmniej w pewnym sensie – obalenie systemu rynkowego, pozostaną jak teraz bezsilne wobec ograniczeń, tragicznie zawężających jego pole wpływu. Należy podkreślać z całą mocą, że reformy nie uda się przeprowadzić bez dobrej woli i współpracy ze strony ogółu. Doświadczenia ruchu Sztuki i Rzemiosła udowodniły niezbicie, że o ile ogół nie udzieli inicjatywie zorganizowanego wsparcia i nie będzie gotów do udziału w koniecznych poświęceniach, wysiłki wąskiej grupy profesjonalistów na nic się nie zdadzą.

A jednak, choćbyśmy nie wiem jak się starali, prędzej czy później zderzymy się z problemem degeneracji duchowej społeczeństwa. Tak długo, jak długo ludzie będą trzymać się swojej obecnej życiowej ekstrawagancji, ich wydatki z konieczności będą większe niż ich przychody, w konsekwencji czego zawsze ostatecznie pogodzą się z życiem w otoczeniu tandety i fałszywek. Życie współczesne to dokładny duplikat sztuki współczesnej. Jest fundamentalnie nieszczere, brakuje mu miary, panuje w nim kult kłamstwa. Jak pisał Carlyle: „porzuciliśmy kult Wieczności i Prawdy, a na jego miejsce wprowadziliśmy kult spraw tymczasowych, rzeczy połowicznie lub zupełnie kłamliwych". Im głębiej badamy dekadencję współczesnej sztuki, tym wyraźniej przekonujemy się, że każdy jej aspekt – więcej! – każda linijka – zachowuje jakiś związek z duchem narodu. To sztuka ludu, który gotów jest posunąć się do najpodlejszych oszustw, byle tylko zarobić pieniądze. Sztuka nigdy jeszcze nie oddawała równie wiernie życia narodowego.

Według starych pojęć, sztuka, religia, idee, uczciwość w pracy, dążenie do doskonałości, stanowiły w życiu rzeczy naprawdę ważne, podczas gdy biznes i zarobek – rzeczy podrzędne, relatywnie nieistotne, bo w dawnych czasach kochano prawdę i brzydzono się fałszem. I pojęcia te, jak uważamy, są prawdziwe. Jeżeli społeczeństwa nie rozpozna prawdziwych wartości i nie pozostanie im wierne, nie może zachować zdrowia. To nie niezależne od nas przyczyny ekonomiczne dały początek obecnym problemom społecznym, ale upadek duchowy, biorący się z tyranii życiowej biznesu i dochodów.

Oto wybór, przed którym stoimy. Czy zadowolimy się życiem narodu Filistynów[21], nieczułych na poezję, religię, idee, sztukę, uwielbiających wulgarny sukces, marnujących swe cenne talenta w plugawych, spekulacyjnych interesach, wyrzekających się spokoju w imię luksusów, marnotrawstwa i gorączek podniety? Jeśli tak, to nadal będziemy tarzać się w odpadkach systemu rynkowego, pozbawieni jakiejkolwiek możliwości rozwiązania naszych problemów, nawet gdyby domagał się go jednym głosem cały naród. Jeśli jako jednostki nie będziemy gotowi żyć i poświęcać się w imię prawdy, społeczeństwo pozostanie takie, jakie jest teraz: na łasce i niełasce spekulantów, wyzyskiwaczy, hochsztaplerów, szalbierzy i finansowych awanturników. Nie ma bowiem innego lekarstwa. Sprawą ważniejszą dla narodu od gromadzenia bogactw doczesnych jest bogactwo życia duchowego. Taką naukę trzeba nam wyciągnąć z obecnych problemów społecznych; dopóki to się nie stanie, nigdy nie wyzwolimy się z obłoków ciemności, w których jesteśmy uwięzieni.

21 Terminologia Mateusza Arnolda.